ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 11(48) • Listopad 2009 • Cena 2,00 zł

ISSN 1897-4023

Okienko

Co ma wspólnego okienko w pewnym urzędzie z oknem samochodowym? Może to, że i jedno i drugie funkcjonuje - działa według bardzo wysokich norm jakości, dla uzyskania których ktoś kiedyś wyłożył i systematycznie łoży pokaźną sumę pieniędzy? A może to, że i tu i tam, przy takim okienku siedzą wygodnie rozparci ludzie - często bardzo sympatyczni, lecz, którym zdarza się traktować otoczenie z… nazwijmy to delikatnie - lekceważeniem?

Dzięki rozwijającej się sieci sygnalizacji świetlnej w Złotoryi, mogę czasami być świadkiem różnorodnych zachowań bliźnich moich. Oto np. stoję sobie grzecznie za pięknie odpicowanym, nowym (sądząc po świeżym numerze rejestracyjnym) , nabytkiem jednego z obywateli naszego miasta, podziwiając smukłość linii karoserii, metaliczny połysk i pęknięte lusterko kilku(nasto?)letniego samochodu, gdy moją kontemplację brutalnie przerywa niedopałek papierosa wylatujący z okna tego bolidu. Akt ten niespodziewany i namacalnie bolesny wprowadził w nieprzyjemne drżenie moje trzewia. Wprawdzie nie noszę krawata, ale wyrywny nie jestem, więc z samochodu nie wyszedłem, by porozmawiać sobie z panem kierowcą - tym bardziej, że zaraz zmieniły się światła i kawalkada samochodów podążyła swoją drogą.

Jakimi dziwnymi drogami płyną ludzkie skojarzenia? Patrząc tak na to dzieło sztuki użytkowej, od razu pomyślałem o pewnym okienku, które winno być czynne od godziny 7:30, a ilekroć grzecznie się przed nim ustawiam parę minut przed aktem jego rozwarcia, muszę cierpliwie czekać, aż dane mi będzie ujrzeć światłe oblicze szacownego urzędnika(czki). Przy tych okienkach siedzą ludzie: zacny kierowca i zacny biuralista(tka) , którzy mają gdzieś całe to nikczemne otoczenie. Drobnostka? Być może. Ale tak sobie myślę, że na co komu jakieś certyfikaty, gdy wychowania brak. I nie chodzi tutaj o ten mały niedopałek, który zaraz pewnie zginie pod kołami następnego samochodu, czy o te parę minut, które kradnie dla siebie jakiś urzędnik, ale o szacunek dla innych. O to, że człowiek szybko nabywa odporności: najpierw mały pecik, później papierek, później śmieci w lesie. Albo patrząc z drugiej strony: najpierw parę minut, później kilkanaście,...

Robert Pawłowski

Kolorowy świat

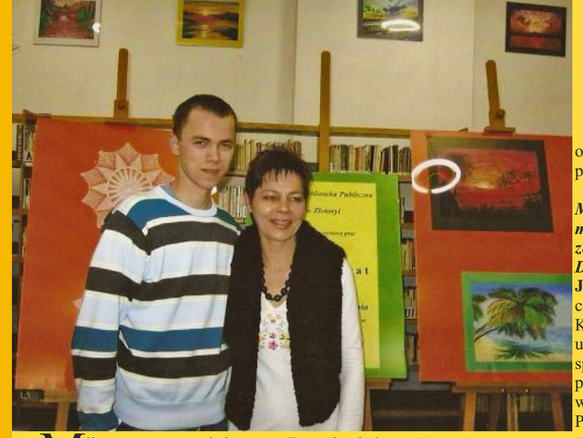

Miła, sympatyczna i skromna. To cechy, które można dostrzec przebywając w jej towarzystwie choć przez chwilę. Kobieta silna, choć przeszła w swoim życiu wiele… Nawet, gdy sama ma problemy, potrafi pocieszyć z uśmiechem na twarzy. Bez wątpienia utalentowana. Jej dorobek to ponad 140 obrazów. W swoich pracach przedstawia świat, który postrzega własnymi oczyma. Wyraża w nich uczucia i marzenia. Kochana i dumna matka trójki dzieci. Uosobienie spokoju… Osoba wyjątkowa pod każdym względem. Od 10 lat mieszkanka Złotoryi. Zapraszam na rozmowę z Janiną Swat , artystką godną uwagi.

Monika Ziębora: Jak zaczęła się pani przygoda ze sztuką?
Janina Swat: Jako dziecko chciałam iść do szkoły plastycznej. Niestety nie wyszło. Było nas w domu pięcioro dzieci. Okazało się więc to niemożliwe ze względów finansowych. Chcąc spełnić swoje marzenie, często malowałam prace innym dzieciom. W miarę możliwości chodziłam do galerii, odwiedzałam wystawy i chłonęłam sztukę oczyma. Podczas jednej z wystaw we Wrocławiu zachwyciłam się szczególnie obrazem białych margaretek. Stanęłam przed nim i patrzyłam z zachwytem. Wtedy pomyślałam – Boże! Jak ja chciałabym tak pięknie malować! To była pamiętna chwila. W trudnym dla mnie roku 2005 zaczęła się moja przygoda ze sztuką i trwa po dziś dzień. Po każdej wystawie, jaką organizuję, przypominam sobie właśnie Wrocław i tę magiczną chwilę, dzięki której odległe marzenia stały się rzeczywistością.

M.Z: Pani pierwsze dzieło…
J.S: Pierwszy był obraz przedstawiający tulipany w wazonie. Za namową, już śp. Koleżanki , wzięłam do ręki kredki, i od tego się zaczęło. Gdyby Wandzia żyła, pewnie byłaby ze mnie dumna. Niestety pracy tej już nie mam. A szkoda… Choćby dla porównania. Podczas tych kilku lat gdzieś się zgubiła.

M.Z: Tworzy pani w różnych technikach, ale czy jest jakaś ulubiona??
J.S: Zachwyca mnie piękno i harmonia. I to staram się przekazać poprzez swoje prace. Przede wszystkim maluję. Są to obrazy wykonane pastelami olejnymi, suchymi i akrylem. Także wszelkie prace na szydełku, hafty, kwiaty z bibuły, papieru, serwety, kapelusze. W przyszłości chcę jeszcze spróbować malować farbami olejnymi. W moich pracach dominują: martwa natura, przyroda, kwiaty, ptactwo, zachody słońca oraz pejzaże. Kolorystyka jest ciepła, pozbawiona szarości i ciemnych barw.

M.Z: Rzeczywiście. Te elementy od razu można dostrzec w pani twórczości. Nie zauważyłam jednak postaci ludzkich. Dlaczego?
J.S: Ludzie są za smutni. W dzisiejszych czasach tempo życia jest zbyt szybkie... Każdy gdzieś goni zapominając o pięknie i uśmiechu. A po co tworzyć coś, co nie sprawia radości. Maluję to, co dla mnie piękne, istotne i potrzebne. A tym jest właśnie przyroda otaczająca człowieka. Próbowałam wiele razy malować twarze, ale nie wychodzi mi to. To chyba jakaś siła wyższa…

M.Z: Zapewne spotyka się pani z pozytywnymi komentarzami związanymi z twórczością. A jak jest z krytyką?
J.S: To naturalne, że spotykam się również z krytyką. Moje podejście do niej zależy od tego, jacy ludzie krytykują moje prace. Każdy ma do tego prawo, zaś sztuka jest dziedziną bez granic i sztywnych reguł. Artysta ma prawo wyrazić to, co zechce i robić to na własny sposób. Czasem krytyka dodaje mi siły. Muszę jednak przyznać, że najłatwiej jest skrytykować drugą osobę, nie widząc swoich błędów. Sama zaś rzadko oceniam negatywnie dzieła innych artystów. We wszystkim dostrzegam coś szczególnego.

M.Z: Czy sztuka wymaga wielu poświęceń?
J.S: Sztuka przede wszystkim wymaga miłości, cierpliwości i czasu. Nie zawsze przecież jest możliwość, by malować. Przede wszystkim podczas wyjazdów itp. Wtedy biorę do torebki szydełko i w wolnej chwili tworzę. Kocham sztukę i czas, jaki jej poświęcam, jest moim zdaniem jak najbardziej dobrze wykorzystany. Czasem, by powstał obraz, siedzę nad nim kilka dni, a czasem więcej. Wszystko zależy od tego, co się maluje. Najważniejsze, to oddać się jej bez granic. Wówczas nie jest to poświęcenie, a przyjemność.

M.Z: Jakie jeszcze korzyści czerpie pani ze swojej pasji?
J.S: Przede wszystkim możliwość przelania „własnej duszy" na kartki papieru. Jest to niesamowite. Ogromną satysfakcją jest myśl, że moje prace podobają się innym.

Wtedy to już jest podwójna radość. Rozwijam swoje umiejętności, poznaję wielu nowych i ciekawych osób, współpracuję z przemiłymi osobami. Jestem szczęśliwa, że dostałam tak cenny dar od losu.

M.Z: Czy ma pani swoją ulubioną pracę?
J.S: Tak. Wszystkie. Do każdej pracy mam sentyment. Każda jest ulubioną, każda ma w sobie coś szczególnego, bo w każdej zostawiam cząstkę siebie.

M.Z: Zapewne są też sukcesy?
J.S: Zorganizowałam w krótkim czasie wiele wystaw. Pierwszą z nich zawdzięczam kierownikowi hali „Tęcza" w Złotoryi, Jackowi Zańko. To dzięki jego pomocy zaczęły spełniać się moje skryte marzenia… Najwięcej prac prezentowałam w Złotoryi , a dokładniej w Hali Sportowej, Miejskiej Bibliotece Publicznej, w TMZZ. W Jaworze brałam udział w Targach Sztuki i Rzemiosła, w Lubaniu w Przeglądzie Dorobku Artystycznego Seniorów zajęłam drugie miejsce. Moje prace gościły również na Jarmarkach w Wojcieszynie. To, co tworzę, trafia także do osób prywatnych w kraju i za granicą.

M.Z: To jest jedyna pani pasja?
J.S: Sztuka jest z pewnością jedną z najważniejszych moich pasji. Dzięki niej mogę rozwinąć skrzydła. Interesuję się także fotografią, Kulturą Dalekiego Wschodu, medycyną chińską oraz człowiekiem i tym, co go otacza. Jestem także członkinią Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej i Złotoryjskiego Klubu Seniora. Działając w tych organizacjach także rozwijam swoje umiejętności i pasje.

M.Z: Dzieci są z pewnością dumne z takiej mamy?
J.S: Tak. Są bardzo dumne. Czuję to i jestem szczęśliwa. Towarzyszą mi często na wystawach. Zawsze mogę liczyć na ich pomoc. Najmłodszy syn pomaga mi w fotografii. Sam się nią zajmuje. To z kolei jego pasja. Jest bardzo utalentowany i zawsze potrafi mi dobrze podpowiedzieć czy doradzić.

M.Z: Ma pani jakieś marzenie?
J.S: Moim marzeniem jest własne, większe, słoneczne mieszkanie. W obecnym prace mieszczą się z trudem. Marzę także o wielkiej wystawie w Polsce lub za granicą. Wiele moich prac rozsławia nie tylko mnie ale i Złotoryję za granicami kraju: we Francji, Stanach Zjednoczonych, Anglii, Niemczech. Chciałabym mieć własną stronę internetową. Daje to większe możliwości rozwoju. To tylko niektóre, najważniejsze z marzeń. Mam ich o wiele więcej…

M.Z: A dalsze cele?
J.S: Chcę malować i tworzyć. Bez końca. Moim celem jest spełnić te wszystkie marzenia i sprawiać radość ludziom, którzy oglądają moje prace. To piękna rzecz.

M.Z: Gdzie można podziwiać pani prace?
J.S: Każdy może je oglądać pod adresem internetowym : www.jasia2828.digart.pl , gdzie na ich temat można wyrażać swoje opinie. Komentarze bywają różne. Lecz dzięki temu, że są tam moje obrazy, wiem, że idą one w świat. Zapraszam także na wystawy, które organizowane są co jakiś czas. Każdy może na nie przyjść i nacieszyć oko.

M.Z: Ma pani jakąś swoją „złotą myśl"?
J.S: W trudnych chwilach zawsze powtarzam sobie - „Móc to chcieć, a chcieć to móc". Są to słowa magiczne. Motywują mnie do dalszych działań.

M.Z: Skąd w pani tyle radości?
J.S: Po prostu cieszę się, że „jestem" i mogę tworzyć. Daje mi to ogromną radość. Jak każdy, też potrafię płakać… Ale moje nastawienie do świata jest jak najbardziej pozytywne. Życie jest zbyt krótkie, by je zmarnować na smutki. Dlatego też w mojej twórczości nie ma złych, negatywnych uczuć. Po co przekazywać ludziom cierpienie? Po co mają je oglądać w moich pracach, skoro zapewne muszą oglądać je w swoim życiu. Patrząc na moje obrazy mogą zapomnieć o smutku, złości i nienawiści. Mogą choć na chwilę przenieść się do innego, lepszego świata.

M.Z: Jakich rad udzieliłaby pani osobie, która chciałaby zacząć tworzyć?
J.S: Najważniejsze są chęci, upór i dążenie do celu mimo wszystko. Trzeba otworzyć serce przed sztuką, oddać się marzeniom i fantazji. Jeśli wkładamy w swoją pracę miłość, efekty są zadowalające. Ważne są też oczywiście materiały, które bywają czasem kosztowne. Ale jak to się mówi, zawsze można zrobić coś z niczego. Moja praca jest tego przykładem. Czasem wystarczy mi kawałek drucika czy papieru, by powstała piękna praca. Ważne jest także, by nie szukać swojej pasji „na siłę". Każdy powinien robić to, w czym czuje się najlepszy.

M.Z: Zapewne Złotoryja jako miasto jest dumna z tak utalentowanej mieszkanki.
J.S: Los chciał, bym znalazła się w Złotoryi. I dobrze, bo jestem tu bardzo szczęśliwa. Poznałam wiele ciekawych osób, które mi pomogły, gdy było ciężko. I jestem im za to bardzo wdzięczna. Mam tu przyjaciół i cenne wspomnienia. Czuję się dobrze w tym środowisku. Złotoryja to małe, ale piękne miasteczko, do którego mam ogromny sentyment.

M.Z: Mam nadzieję, że będziemy mieli jeszcze niejedną okazję ku temu, by podziwiać pani prace na wystawach.
J.S: Staram się, by mieszkańcy mogli oglądać moje prace. Tworzę i będę tworzyć. Tego jestem pewna, gdyż bez sztuki moje życie nie miałoby sensu. Stałoby się smutne, szare i monotonne. Sztuka daje mi taką „świeżość" i odrywa od codzienności i problemów. Zawdzięczam jej wiele, bo to dzięki niej pokonałam chorobę i zaczęłam lepsze życie. Jeszcze nie myślałam konkretnie o kolejnej wystawie, ale zapewne niebawem się odbędzie.

M.Z: Dziękuję bardzo za rozmowę. Życzę dalszych sukcesów i wielu nowych inspiracji.
J.S: Dziękuję.

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Elżbieta Łukjańczuk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Panorama Jerzmanic z Kruczych Skał - Robert Pawłowski.
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.
Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikacje nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiejkolwiek formie.
Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy: I - prenumerata miejscowa (odbiór w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.
ISSN 1897-4023

Archiwista wspomnień

W zimowe wieczory przy cieple kominka siadam z mężem w wygodnym fotelu, wyciągam rodzinne albumy, w których zatrzymał się czas wspólnie spędzonych chwil… chwile zadumy i wspomnień targają nasze umysły…

Aparat fotograficzny zawsze nam towarzyszył. Takich jak my amatorów - fotografów jest wielu, niektórzy sami wywołują zdjęcia w małej ciemni gdzieś tam w kąciku swego domostwa. Można by rzec, że nasze codzienne życie zdominowała fotografia. Zdjęcia stały się elementem rozpoznawczym. Szczęśliwe i tragiczne chwile utrwalamy dla potomności.

Jednak oglądać zdjęcia a tworzyć je nie jest prostym zadaniem. Poszperajmy trochę „w pracowni fotoamatora" Zbigniewa Pękosławskiego i Encyklopedii PWN.

Trochę faktów historycznych…

Fotografia powstała w 1839 rok, LJM Daquerre i WHF Talbot ogłosili prace nad uzyskaniem obrazów fotograficznych. Po raz pierwszy terminu fotografia użył w F W H Herschel natomiast pierwszą próbę uzyskania zdjęć barwnych przeprowadził: w 1855 LC Maxwell, w 1910-1914 R Fischer metodę zastosował na skalę przemysłową a w 1935-1936 firmy Agfa i Kodak(Agfakolor i Kodakchrome). Tak naprawdę fotografia liczy ok.160 lat.

Dlaczego lubimy zdjęcia?

Fotografia oddaje bogate treści życia w jego różnych przejawach, pasjonuje, kształci zmysły artystyczne. Od strony technicznej zdjęcie powinno mieć wyraziste kontury, czytelność i plastyczność obrazu fotografowanego przedmiotu czy scenerii.

Pracownia fotograficzna minionego wieku…

W minionym wieku pracownia portretowa zwana „altaną" była istnym curiosum. Ogromna sala niczym oranżeria o szklanych ścianach i dachu wypełniona została płóciennymi malowidłami typu: mosteczek nad rzeczką, pałac z pięknym ogrodem, na polance czerwononogi bociek, palmy, bambusowe stoliki itp. można było wybierać tło do fotografii według własnego uznania. Światło fleszy i światło słoneczne niszczyły malowidła. Z czasem znikły ozdoby. Zastąpiły je jasna ściana i kotara.

Pracownia musiała mieć dwa pomieszczenia- jasne tzw. „atelier", gdzie fotografowano, do wszystkich prac fotograficznych używano specjalnych żarówek elektrycznych zwanych reflektorami, których budowa opierała się na właściwościach zwierciadła wklęsłego, można było skierować snop światła na obiekt. Umiejętność operowania światłem zdobywało się przez praktykę i wrodzone wyczucie estetyczne. Drugie pomieszczenie to ciemnia, tu wywoływało się i utrwalało błony i filmy, kopiowało odbitki stykowe lub powiększało zdjęcie. W dwudziestym pierwszym wieku zakład fotograficzny częściowo przypomina dwudziestowieczny. Pozwólmy wypowiedzieć się fachowcom od fotografii.

Złotoryjski fotograf.

Nazwisko Filarowski wrosło w nasze środowisko od dawien dawna. Kto z nas nie zna pana Stanisława Filarowskiego i jego syna Leszka…? Każdy z nich ma swój zakład fotograficzny o odmiennym stylu, nadmienię tylko, że pan Stanisław ma 85 lat a w tym fachu pracuje przeszło 40 lat. Leszek prowadzi swoje atelie w Świerzawie.

***J.K.**: Zawsze chciałeś być fotografem?*

Leszek Filarowski: W zasadzie miałem wiele zainteresowań, ale lubiłem robić zdjęcia, aparat mieli nieliczni…, każdą kliszę trzeba było oddać do wywołania zdjęć, ojciec miał bardzo dużo pracy, nie przerabiał jej, dlatego pomagałem mu. Jako pierwszy w Złotoryi wprowadził fotografię kolorową. Nie było gotowych preparatów, musieliśmy eksperymentować. Dostępną lekturą była instrukcja, którą trzeba było uważnie przeczytać. Literatury fachowej brakowało, nie było na czym się oprzeć. Preparaty powstawały metodą prób i błędów. Kolory musiały być rzeczywiste, nieprzejaskrawione. Zestaw wywołujący w latach 70 minionego wieku był reglamentowany, kupowaliśmy tylko kilka sztuk, o kliszach nie wspomnę. To była istna manufaktura, wiele urządzeń tworzyliśmy sami. Plastikowe pojemniki zastępowaliśmy wiaderkami, musieliśmy znaleźć sposób na podgrzewanie odczynników. Praca wymagała dużo cierpliwości, staranności, wyczucia koloru i pomysłowości. Od nas zależała, jakość zdjęcia, pieczołowicie mieszałem odczynniki, aby efekt końcowy był jak najlepszy. Na dobre zająłem się fotografią barwną!. Ale sentyment do zdjęć czarno-białych do dzisiaj pozostał. Skończyła się era odczynników i ciemni, a szkoda! Mam wrażenie, że „energia z rąk przechodziła na zdjęcia, że miały duszę"- z nutką żalu w głosie dodaje Leszek.

Przeciętny zjadacz chleba wie, że fotografia utrwala obrazy na materiałach światłoczułych na skutek działania światła, do tego celu używa się aparatu fotograficznego. Pierwszym moim aparatem był Zenith następnie Praktica W pracy studyjnej używałem szerokotaśmowego Pentacona a erę zdjęć natychmiastowych przywitałem Polaroidem czteroobiektywowym. Papier był bardzo ważny. Istotną rolę odgrywała pora roku i temperatura. W zimie zdjęcia wychodziły zbyt niebieskie, trzeba było używać potrójnego filtra.W okresie działalności mojego ojca w Złotoryi były jeszcze trzy zakłady fotograficzne. Pan Bryś śp. wykonywał zdjęcia weselne na terenie miasta a my poza obrębem miasta. Robiliśmy zdjęcia na dwa aparaty, w razie, gdy jeden zawiedzie. Aparaty też mają swoje kaprysy. Chcieliśmy mieć pewność, że wszystko wyjdzie. Do dnia dzisiejszego stosuję tą metodę z synem Michałem.

J.K.:, Kiedy wiedziałeś, że zostaniesz w tym zawodzie, pamiętam, że pracowałeś na „Lenie"?

We Wrocławiu Cech Rzemiosł Różnych zorganizował kurs fotograficzny, na który się zapisałem. Wykładali wrocławscy fotografowie, tam też zdobywałem praktykę w najlepszych zakładach. Po zdanych egzaminach otrzymałem certyfikat i rozpocząłem swą pracę zawodową, lecz nie na Lenie tylko w zakładzie fotograficznym.

Dzień powszedni.

Był bardzo słoneczny sierpniowy dzień, słońce bezlitośnie męczyło oczy, bez okularów ani rusz, weszłam do przyciemnionej pracowni. Przy komputerze siedział Leszek, przerabiając zdjęcia. W tym samym czasie zjawiła się klientka.

-…potrzebuję zdjęcia do paszportu - oświadczyła

Leszek wydał komendę – proszę odsłonić lewe ucho, zdjąć kolczyk. Pani usiadła naprzeciwko reflektorów, kliknięcie aparatu-lustrzanki i twarz została utrwalona. Po chwili kilka ujęć trafia do obróbki komputerowej. Klientka wybiera najładniejsze zdjęcie. W komputerze zostaje wykonana korekta (fotograf dobiera odpowiednie tło, cienie, kolory…) Znikają niepotrzebne cienie na twarzy, przebarwienia. Gotowe zdjęcie wędruje do drukarki, tam następuje wydruk wcześniej opracowanego zdjęcia. Cały proces trwał około 10 minut.

-Szybko i fachowo -oceniłam.

Jeśli mamy do czynienia ze zdjęciami z Komunii, wesela… to nie jest tak prosto, Każde zdjęcie trzeba poddać obróbce komputerowej. Czasami jest ich tysiąc, ale nie ma co narzekać, to mój chleb powszedni - opowiada Leszek.

Każda fotografia wymaga indywidualnego potraktowania, do tego służy specjalistyczny program komputerowy, fotograf podejmuje wiele prób zanim zdjęcie trafi do odbiorcy. Siedzę akurat nad zdjęciami weselnymi *pary młodej* zrobione są przez amatora fotografa. Zamówili album. Przyznaję, że wolałbym sam robić te zdjęcia – z uśmiechem dodaje Leszek

Czasami ze zdjęć amatorskich nie ma co wybrać, są nieostre, robione w słońcu. Dobrze, że komputer daje mnóstwo możliwości, do zdjęcia można dodać tło, zmienić nasycenie barw, wiele elementów szpecących można usunąć, doprowadzić obraz na zdjęciu prawie do idealnego, perfekcyjnego.

Cały czas trzeba się uczyć, gdy się porówna zdjęcia z lat osiemdziesiątych z obecnymi, widać wyraźną różnicę, sądzę, że za kilka lat znowu w fotografii nastąpią zmiany, dlatego nie mogę stać obok zmian

J.K.: Czy fotografia rządzi się modą?

L.F.: Tak, zdjęcia z dziećmi mają swoją scenerię bajkową. Bajkowe elementy nie mogą być na pierwszym planie, ale umiejętnie wkomponowane dają przyjemną całość. Na święta wielkanocne elementem ozdobnym jest zając, pisanki…, w święta Bożego Narodzenia Mikołaj, bombki, skarpeta…. Pytam klienta o jego upodobania, o tło, nie staram się o wszystkim decydować, ostatnie zdanie należy do osoby zainteresowanej. Wyobraź sobie uroczystość Pierwszej Komunii, czasami jest 50 dzieci, każdemu z osobna trzeba zrobić kilka zdjęć, każde dziecko dostaje ode mnie album a w nim 5 pamiątkowych zdjęć. Mam wiele pomysłów, które realizuję, chyba się podobają, bo zamówień mam wiele.

J.K.: Jesteś pracodawcą sam dla siebie. Jak wygląda Twój dzień?

L.F.: (śmieje się) czas pracy jest nieregulowany.W kalendarzu nam pozajmowane terminy już na przyszły rok.

Zakład w tygodniu musi być otwarty według rozpiski na drzwiach, klient to pieniądz a pieniądz to mój i mojej rodziny byt. Weekendy mam bardzo pracowite. Na początku września miałem dwa wesela do sfotografowania. Średnio od 15, 00 do 21, 00 bywam zajęty w każdą niedzielę, jeśli młodzi zamówią fotografa na wesele, to kończę o 3, 00 nad ranem. Jednak w weekendy wolę czas spędzać z rodziną. Najbardziej pracowitym miesiącem jest maj. Mogę liczyć na pomoc mojego syna Michała jak również żony Bogusi.

J.K.:, Jaki masz wachlarz zamówień?

L.F.: Jest szeroki, jak u każdego fotografa: zdjęcia z uroczystości kościelnych, historycznych, rodzinnych, zdjęcia portretowe, paszportowe, legitymacyjne…

J.K.: Przeglądając swój album s przed 30 lat znalazłam zdjęcia z pogrzebu mojego ojca, każde z nich ukazywało rozpacz, czy robisz zdjęcia na ceremonii pogrzebu?

L.F.: Nie, zresztą na szczęście dla mnie ludzie na pogrzeby nie zamawiają fotografa.

J.K.:, Jakie są minusy zawodu?

L.F.: Nie mogę chorować!(śmiech) Kiedyś miałem grypę, gorączka trawiła moje skronie, ból mięśni był przeszywający, marzyłem o łóżku, nie mogłem zawieść młodych, pojechałem, wytrzymałem kilka godzin. Wykonałem swe zadanie, ale jakim kosztem?!. Zawód zmusza do częstych kontroli u okulisty. Przy wieloletnim wychodzeniu z ciemni do atalier wzrok pogorszył mi się znacznie. Komputer też wymaga nakładów, musi być szybki, posiadać specjalistyczne oprogramowanie oraz zabezpieczenia antywirusowe. Klienci często przynoszą nośniki pamięci zawirusowane, co powoduje uszkodzenia sprzętu i naprawy w serwisie.

Zdarzają się nieuczciwi klienci, zamówią zdjęcia, i nie zgłaszają się po nie. Ale nie ma co narzekać, jak w każdym zawodzie – są plusy i minusy.

J.K.: Czy zdarzają się komiczne sytuacje w pracy fotografa?

L.F.: Tak, pamiętam, że przyjąłem zlecenie na wesele w Wojciechowie, a pojechałem do Wojcieszowa. Po paru godzinach podchodzi do mnie para młodych i oznajmia - nie wynajmowaliśmy fotografa, ale cieszymy się, że Pan jest, nasz kuzyn, który miał robić zdjęcia, nie przyjechał!- Nie zostałem dłużej ….Na szczęście już takiej gafy nie popełniłem.

J.K :Dziękuję Ci za poświęcony czas, życzę realizacji pomysłów i wielu zamówień.

Jana Kałuża

Jerzmanicka biografia

Heidi Gebhard i Jacek Tyc: Wizyta w siedzibie TMZZ - czerwiec 2009.

Heidi Gebhard urodziła się w 1922 r. w Świętochłowicach (Schwientochlowitz). Kiedy wchodziła zaledwie w dorosłe życie, wybuchła II wojna światowa i Heidi zareagowała na apel Niemieckiego Czerwonego Krzyża poszukującego ochotniczek do pracy, jako pielęgniarki.

Tak wspomina tamten okres:

Po zdaniu małej matury zdecydowałam się uczyć zawodu pielęgniarki. Byłam właśnie w trakcie kształcenia, kiedy ogłoszono apel, by zgłosili się chętni do pracy w Niemieckim Czerwonym Krzyżu. Jako młoda i otwarta osoba zgłosiłam się do tej pracy i udałam się do Goldberg (Złotoryja). *W Bad Hermsdorf** (Jerzmanice-Zdrój) *poszukiwano pracownika do laboratorium i ja zajęłam to miejsce. Moim miejscem pracy był wydział chorób wewnętrznych i laboratorium w Szpitalu Wojskowym dla Rezerwistów. Do całego kompleksu szpitala należało oprócz budynku głównego również laboratorium, w którym pracowałam i które mieściło się zaraz obok* (chodzi o obecny budynek biura administracji zakładu) . *Do tego kompleksu należał również duży obóz jeniecki, w którym przetrzymywani byli polscy żołnierze. Oni właśnie musieli pracować u gospodarzy niedaleko obozu, jak również w parku i ogrodzie należącym do szpitala* (jeńcy wojenni skoszarowani byli w murowanych barakach, które obecnie zajmowane są częściowo przez warsztaty szkolne i budynek szkoły).

Zabroniono nam rozmów z przebywającymi tam polskimi żołnierzami. Mimo tych zakazów udawało mi się w czasie zmiany wartownika (przez około15 minut nie było nikogo na straży) przekazywać im część chleba czy wędliny, która zostawała w laboratorium z poprzedniego dnia. Musiałam być przy tym bardzo ostrożna, ponieważ konsekwencje tego mogły być dla mnie bardzo nieprzyjemne.

Od czasu do czasu udawało mi się przekazać żołnierzom pracującym w parku kilka papierosów. W tym obozie polskich jeńców znajdował się również oddział dla chorych. Do tych, którzy musieli leżeć w łóżku, przychodziłam w towarzystwie sanitariusza pobierać krew. Wszystkich żołnierzy, bardziej czy mniej chorych, było mi bardzo szkoda i jeśli tylko mogłam, polecałam, by ze względów zdrowotnych pozostawali tydzień, czy dwa dłużej w szpitalu. To był dla nich jedyny odpoczynek.

Do naszego personelu należało sześć pielęgniarek i jedna siostra przełożona. Ja miałam do pomocy również dwie pracownice, które zajmowały się pielęgnacją chorych. Zwykle o siódmej rano musiałam być na oddziale, w południe miałam czasami dwie godziny przerwy. Jeden raz w tygodniu, po obiedzie, miałam wolne, z którego korzystałam najczęściej w soboty, ponieważ wtedy nasz doktor prowadzący odwiedzał pacjentów spoza szpitala i ja mu w tym towarzyszyłam. Odwiedzanie tych pacjentów sprawiało mi dużo radości. Poza tym cały czas spędzałam pracując na oddziale, którego nie wolno było opuszczać.

Heidi Gebhard w pokoju pielęgniarek 1941 r.

W bezpośredniej rozmowie z panią Gebhard pojawiły się inne wątki wojennej, jerzmanickiej biografii tej ciekawej osoby. Nasza rozmówczyni przekazała do publikacji garść zdjęć z tamtych czasów, gdy pracowała w szpitalu wojskowym. Przepraszała, że jest ich tak mało. Kiedyś miała dużo więcej. Niestety wiele jej prywatnych zbiorów uległo zniszczeniu podczas pożaru pomieszczeń pielęgniarskich po rosyjskim nalocie i zbombardowaniu budynków szpitala. Ze smutkiem trzeba przyznać, że nie tylko armia niemiecka łamała postanowienia Konwencji Genewskiej.

W tej samej rozmowie dowiadujemy się o przyczynach dość nagłego przeniesienia Heidi Gebhard ze szpitala w Bad Hermsdorf. W połowie 1942 roku ktoś, prawdopodobnie siostra przełożona, osoba o wyraźnie nazistowskich poglądach, zadenuncjowała młodą kobietę na gestapo. Okazało się wówczas, że jednak wyszedł na światło dzienne fakt udzielania przez nią pomocy polskim jeńcom wojennym. Każdy, kto zna choć trochę historię II wojny światowej i metody działania *Geheimstadtspolizei* zrozumie, że takie zachowanie u obywatelki Rzeszy traktowane było jak zdrada wojenna i karane sądem polowym i śmiercią. Nieznane nam okoliczności, z lekkim wskazaniem na cud, spowodowały, że Heidi została przez gestapo oszczędzona, lecz musiała odejść ze szpitala wojskowego.

Ten czas spędzony w Bad Hermsdorf ukształtował mnie w znaczący sposób. Byłam jeszcze osobą bardzo młodą i praca w tym szpitalu nauczyła mnie dojrzałości. Na moje dwudzieste pierwsze urodziny dostałam dużo prezentów od pacjentów. Moje zadania wypełniałam bardzo chętnie i dzisiaj wykonywałabym je z taką samą radością.[…]

Po opuszczeniu Bad Hermsdorf wichry wojny rzuciły Heidi do Francji. Wszędzie, gdzie otrzymywała przydział służbowy, ofiarnie pełniła swoje obowiązki pielęgniarki, nigdy nie dzieląc pacjentów na narodowości. Koniec wojny zastał ją pod Paryżem, gdzie osadzona została w obozie jeńców wojennych.

Swoje doświadczenia wojenne rozpoczynałam jako członek załogi wojskowej szpitala i obozu polskich jeńców, pilnowanych przez moich rodaków, a zakończyłam jako jeniec w obozie pilnowanym przez żołnierzy polskich…

W tym obozie poznałam swojego męża, również jeńca wojennego, z którym przeżyłam wiele dziesięcioleci swojego życia - wspomina Pani Gebhard.

Pani Heidi Gebhard była gościem Zakładu Poprawczego w Jerzmanicach-Zdroju w dniach 17 - 18 czerwca 2009 roku z okazji jubileuszu 50-lecia placówki. Dzięki uprzejmości Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej 17. czerwca odbyło się spotkanie delegacji zakładu i naszego Gościa z panią Agnieszką Młyńczak w siedzibie Towarzystwa w „Bacalarusie" przy ul. Szkolnej 1 w Złotoryi. Gospodyni spotkania - pani Agnieszka w barwny i ciekawy sposób opowiedziała o działalności Towarzystwa oraz o powojennych losach dzisiejszych złotoryjan i ich nowych ojczyznach, które oni sami określają jako *Ojczyzny serc*. Podczas spotkania Heidi Gebhard wspomniała swój pobyt w Złotoryi i Jerzmanicach w czasie II wojny światowej i zadeklarowała współpracę z każdym, kto jest zainteresowany dokumentowaniem przeszłości Ziemi Złotoryjskiej. Wspólna konkluzja tego spotkania - *Tam dom twój, gdzie serce twoje* - jeszcze raz zwróciła naszą uwagę na pogmatwane losy mieszkańców Dolnego Śląska i konieczność współpracy dla utrwalania dziedzictwa historycznego i uchronienia go przed zapomnieniem.

W gruncie rzeczy Śląsk jest naszą wspólną Ojczyzną, niezależnie od wpisu w dowodzie osobistym.

Jacek Tyc

Patriotyzm młodych

Nieda wno obchodziliśmy rocznicę odzyskania niepodległości przez naszą Ojczyznę. Jak każde ważne święto, a to jakoś szczególnie, skłania do refleksji... Apele poległych, defilady wojsk, okolicznościowe przemówienia, flagi łopoczące na wietrze, wzruszające wspomnienia kombatantów, dyskusje w różnych gremiach na temat dziejów naszego narodu – to wszystko buduje szczególny nastrój i zmusza do przemyśleń na temat wolności, obywatelstwa i patriotyzmu.

Jaka radość i poczucie nieskrępowanej dumy powinny nam towarzyszyć podczas świętowania tego dnia! Zaraz, zaraz… ale czy nam towarzyszą? Czy czujemy wagę przełomu historii, która zechciała po 123 latach niewoli Polaków nagrodzić ich za kolejne niepodległościowe zrywy i darować wreszcie upragnioną i należną Wolność? Czy rozmawiamy o tym w rodzinach, prowadzimy dyskusje z naszymi dziećmi, snujemy historie naszych przodków, którzy może życie oddali za pokój i niepodległość umiłowanego kraju? Krótko mówiąc: czy dbamy o patriotyczne wychowanie pokolenia, które niebawem stanie się dojrzałym społeczeństwem i jako takie pokieruje dalszymi losami naszego kraju? Jakie poglądy prezentują dziś młodzi Polacy w temacie odpowiedzialności za losy swojej ojczyzny?

Zastanawiając się nad tym, postanowiłam sprawdzić tę kwestię u źródła. Mając, z racji wykonywanego zawodu, codzienny kontakt z młodzieżą, wielokrotnie sonduję ich opinie na różne tematy i nurtujące ich problemy. Tym razem z efektem moich kilku rozmów z uczniami klas liceum i technikum, za ich zgodą, postanowiłam się z Państwem podzielić.

Danuta Kubicz: Co to jest patriotyzm?
Marcin – Umiłowanie ojczyzny, miłość do kraju…
Kasia – Jest to godne obchodzenie świąt narodowych.
Ola I – Szacunek dla bohaterów, którzy walczyli o wolność Polski w różnych latach naszej historii.
Iza – Jest to też praca i nauka dla narodu, bo w dzisiejszych czasach na szczęście nie ma żadnych wojen, czyli nie musimy o ojczyznę walczyć tak jak nasi przodkowie, ale możemy swoją nauką, zdobywaniem wiedzy być dla niej chlubą…

DK – Czyli w czasie wojny patriotyzm to jest walka w obronie swojego kraju i narodu, jego niezawisłości; jeżeli nie ma wojny to, jak mówisz, można służyć jej swoją nauką i rzetelną pracą… Czy tak?
Iza – No tak, żeby była z nas dumna, jeśli można tak powiedzieć…

DK – No dobrze, to znaczy rzetelna, uczciwa nauka… Co pod tym się kryje i jak to rozumiecie nie będę już dociekać, ale powiedzcie, jaki jeszcze jest współczesny patriota?
Marcin - Pamięta o przodkach, którzy walczyli o niepodległość.
Iza – Ma szacunek dla ojczyzny, dla symboli narodowych.

DK – No właśnie, dzisiaj wyglądacie odświętnie, przyszliście w tzw. galowych strojach, czy w tym także wyraża się szacunek dla kraju? Oj, przepraszam, nie wszyscy wiedzą jak wygląda strój galowy… Widzę obok mnie jakiś ostry fioletowy kolor bluzeczki, a tu sportowa bluza..
Grzegorz – No, zaspałem dzisiaj… tak szybko się ubierałem… zapomniałem o apelu i rocznicy.

DK – Ale zobacz, dla niektórych to jest oczywiste, że wyrazem świętowania pewnych rocznic jest odpowiedni ubiór, który podkreśla poważny stosunek do wydarzenia. To też jakiś rodzaj patriotyzmu.
Grzegorz – No tak, wiem… Poprawię się…
Sylwia – Ja myślę, że patriotyzm to też godne reprezentowanie Polski na jakichś ważnych kongresach, na uczelniach całego świata, przy każdej okazji wyjazdu z kraju…

DK – Racja. A w Waszym wypadku?
Sylwia – Godne reprezentowanie szkoły na przykład. Na zawodach sportowych, olimpiadach wiedzowych, jakichkolwiek wyjściach na zewnątrz : do kina, do teatru…

DK – Jak spędziliście wczorajsze święto II listopada? Czy jakoś inaczej niż zwykle?
Iza – No tak. Spałam do trzeciej po południu (śmiech)…
Paulina – A ja nie. Może Wasz dzień wyglądał jak każdy weekendowy dlatego, że mieszkacie na wsi. Ja wstałam wczoraj wcześniej i przed jedenastą poszłam pod pomnik, gdzie odbywała się główna uroczystość w mieście, i po prostu… skupiłam się na tym co tam się działo.

DK – To też jest przejaw patriotyzmu, prawda? Paulina jako harcerka została do uczestnictwa w obchodach Święta Niepodległości niejako zobligowana.
Paulina – Można tak powiedzieć. Ale przyznam szczerze, że kiedyś bardziej mi się podobały te obchody. Jeszcze dwa lata temu uroczystość odbywała się wieczorem, miała więc inny charakter, paliły się znicze, harcerze stali z pochodniami wokół pomnika, nastrój był jakiś bardziej podniosły… Teraz odkąd jest to połączone ze ślubowaniem klas pierwszych o profilu wojskowym i dzieje się w dzień, podoba mi się nieco mniej...
Magda – Ja byłam wczoraj na mszy świętej za ojczyznę. Później oglądałam różne filmy dokumentalne i programy o historii Polski.

DK – Czy patriota zna dobrze historię swojego kraju?
Iza – Powinien, to chyba oczywiste.
Renia – A ja uważam, że nie musi. Nie znając faktów historycznych dziejów Polski też można być patriotą. Można po prostu skupić się na przyszłości, nie rozpamiętując bez końca tego co minęło…

DK – Wczoraj pan prezydent Lech Kaczyński w swym przemówieniu wyraził pewną myśl. Chciałam się dowiedzieć co o niej sądzicie? Zdanie brzmiało: „Patriotyzm ma patrzeć w przyszłość, ale musi też mieć korzenie"…
Iza – Żeby nie zapominać o historii, ale też pamiętać o działaniach na przyszłość, żeby Polska wzbudzała szacunek na arenie międzynarodowej.
Marcin – Moim zdaniem, to zostało dobrze powiedziane. Powinniśmy starać się o to, aby naszym dzieciom było dobrze kiedyś w swoim kraju, tak jak myśleli o tym nasi przodkowie żeby nam było lepiej i żebyśmy żyli w wolnej Polsce. Musimy dbać o to, żeby ich trud nie poszedł na marne i żebyśmy nie zniszczyli tego o co nasi ojcowie i dziadowie walczyli.

DK – To co według Was jest ważniejsze w patriotyzmie? Pamięć o historii czy budowanie lepszej przyszłości dla kraju ?
Paulina – To drugie chyba…
Iza – A według mnie historia…
Paulina – A ja myślę, że przyszłość, bo ona zależy od nas, a do historii nigdy już nie wrócimy, ona jest już za nami, nie mamy na nią najmniejszego wpływu.
Iza – Ale należy uczcić tych co walczyli za naszą wolność, pamiętać o nich, to też jest ważne.

DK – W sumie te dwa przejawy patriotyzmu się uzupełniają. Może tylko w pewnych chwilach bardziej powinno akcentować się wydarzenia minione, które ukształtowały naszą tożsamość, a w pozostałych skupić się na kreowaniu zależnej od nas przyszłości. Naród, który nie ma historii – nie istnieje. Naród, który nie buduje przyszłości – kiedyś przestanie istnieć.
Iza – Naród to ludzie. Nie mogą istnieć bez swojej historii. Państwo to instytucja. Bez historii, ewentualnie, może istnieć…

DK – Czy na przykład przejawem patriotyzmu są też flagi wywieszane przez mieszkańców na swoich domach w czasie świąt państwowych?
Iza – Tak, oczywiście.
Ola I – Mnie się wydaje, że nie zawsze. Czasami ludzie wywieszają flagi, bo „tak wypada" i nie ma to nic wspólnego z patriotyzmem.
Paweł – No, nie mów tak. Ludzie wystawiają flagi bo chcą uczcić święto, bo cieszą się, że wreszcie można to robić.

DK – Rzeczywiście, coraz więcej się widzi takich flag. A Wy wywieszacie flagi?
Sylwia - Nie.
Renia – A my wieszamy!
Paweł – Ja też.

DK – Czy według Was, młodym, tak jak Wy, współcześnie jest łatwiej czy trudniej być patriotą niż na przykład kilkadziesiąt lat temu?
Iza – Ja myślę, że trudniej. Kiedyś ludzie bardziej zabiegali o dobro ojczyzny, szanowali ją, to było jakby wpisane w ich wychowanie. Czasy się zmieniły i podejście ludzi się zmieniło właściwie do wszystkiego, mentalność ludzi jest inna…

DK – Czyli Wam jest trudniej? Przecież nie musicie chwytać za broń, nie narażacie codziennie swojego życia w obronie ojczyzny…
Paulina – Może mamy łatwiej, ale jesteśmy inni niż starsze pokolenia. Tyle różnych spraw nas zaprząta, że czasem się w nich gubimy… Zapominamy, które obowiązki są ważniejsze od innych.
Iza – Czasy są trudniejsze…

DK – Mimo wolności, którą mamy? A może właśnie dlatego?
Iza – Może…

DK – A według Was, który naród na świecie jest bardzo patriotyczny?
Kasia – Hm… może Amerykanie? Tak, chyba oni.

DK – Czy możecie mi podać nazwiska Polaków – żyjących , lub takich którzy już odeszli – wielkich patriotów?
Paulina – No… Józef Piłsudski, na przykład.
Iza – Jan Paweł II – polski patriota znany w całym świecie.
Paulina – Na pewno ci wszyscy żołnierze, często nieznani z nazwiska, którzy zginęli. Ci, którzy oddali życie za nasz kraj.

DK - A Ignacy Paderewski, Roman Dmowski, Ignacy Daszyński, Wincenty Witos? Znacie te nazwiska?
Iza – Coś tam słyszałam… Nie pamiętam dokładnie, ale uczyło się kiedyś o nich…

DK – A ze współcześnie żyjących, kto dla Was jest patriotą?
Paulina – Prezydent Kaczyński, Lech Wałęsa…
Ola II – Tak, Lech Wałęsa też mi przychodzi do głowy.

DK – A z ludzi mniej znanych, z Waszego najbliższego otoczenia, jest ktoś taki?
Paulina – Dla mnie patriotą jest moja druhna komendantka. Jest dla mnie wzorem, prezentuje zawsze taką postawę, którą można nazwać obywatelską.
Ola II – Mój dziadek jest też taki…

DK – No proszę, czyli są tacy ludzie wokół Was. A tak trudno było Wam na początku ich wymienić… Pewnie znalazłoby się ich więcej. Są wzorem na co dzień, a nie tylko od święta i przy rocznicowych obchodach. Moi drodzy, czy znacie słowa hymnu narodowego, czy potraficie go zaśpiewać?
Grzegorz – Oczywiście, że znamy.

DK – Wszystkie zwrotki? Pierwszą, drugą, trzecią…
Grzegorz – No, może z czwartą byłby problem.

DK – Skąd znacie, od kiedy?
Grzegorz – W szkole się uczyliśmy. W gimnazjum. Każdy musiał śpiewać. Na ocenę oczywiście.

DK – Czyli to nieprawda o czym krzyczą media, że polska młodzież nie zna słów hymnu narodowego?
Iza – Oczywiście, że nie. Wszyscy muszą go umieć. W gimnazjum, a później jeszcze na lekcjach WOS–u, w szkole średniej – utrwalamy.

DK – No dobrze. A czy śpiewacie? Na apelu na przykład, gdy pada komenda: „Do hymnu!", lub w czasie innych uroczystości czy wydarzeń?
Paulina – Tak, śpiewamy. Chociaż… różnie z tym bywa. Myślę, że niektóre osoby wstydzą się po prostu i milczą. Może w duchu sobie śpiewają?
Grzegorz – No właśnie, ja na przykład śpiewam sobie w myślach. Gdyby inni zaintonowali, pewnie też bym otworzył usta. Ale nauczyciele też nie śpiewają. No, może niektórzy…

DK – A powinni, prawda?
Paulina – Pewnie, że tak! Mają dawać nam przykład!

DK – Powiedzcie mi teraz, czy można być patriotą mieszkając z dala od swojego kraju?
Ola II – No tak, można.

DK – Jak to można okazywać?
Ola II – Szacunkiem dla tego co polskie, obchodzeniem świąt państwowych w gronie polonijnym, kultywowaniem polskich świąt i tradycji tam, na obczyźnie. Pokazywaniem innym narodom, że jesteśmy dumni ze swojego pochodzenia i swoich korzeni. Należy dobrze mówić o Polsce. Nawet jeśli rząd nam się nie podoba i politycy nas rozczarowują…

DK – Czy :„Jestem Polakiem" to brzmi dumnie?
Ola II – Tak! Jestem z tego dumna!

DK - Tak?
Wszyscy (chórem) – Tak!

DK – To pięknie usłyszeć. Serce się raduje i napawa nadzieją na przyszłość, Ufff… kamień spadł mi z serca! Czy w Waszych domach rozmawiacie z rodzicami o historii Polski?
Grzegorz – Nie, raczej nie.
Krzysiek – Mój tata ciągle mi mówi, że nie znam historii.
Iza – Niby rozmawiamy. Ale szybko temat schodzi na inny , zagaduję mamę o sprawy bardziej mi bliższe.
Paulina – Ja z tatą rozmawiam wtedy na przykład jak razem oglądamy jakiś film wojenny. To dobra okazja uzupełnić swoje braki w tym względzie.

DK – No właśnie… Ostatnie moje pytanie brzmi: jaki film oglądaliście ostatnio traktujący o historii Polski?
Ola II – „Katyń".
Paulina – „Czas honoru"– serial telewizyjny. Oglądam każdy odcinek. Bardzo mi się on podoba.
Iza – „Pan Tadeusz". Wczoraj akurat przypomniano go kolejny raz w telewizji. „Pianista"…

DK – Dziękuję Wam bardzo za rozmowę. Może sprowokowałam Was nieco do zastanowienia się nad ważnymi pytaniami w kontekście Święta Niepodległości Polski… Cieszę się z tego i ufam, że zawsze będziecie godnie prezentować swój patriotyzm: czy to w szerokim świecie, czy pracując dla dobra Polski tu na miejscu, we własnym kraju. Oby tak było!

Młodych wysłuchała: Danuta Kubicz

Uwaga, miłośnicy Złotoryi!

Wszystkich, którzy chcieliby zaangażować się w realizację planów odtworzenia w 2011 lub 2013 r. wielkiej bitwy o Wilczą Górę, która odbyła się w 1813 r., serdecznie zapraszamy na spotkanie w dniu 15 grudnia o godz. 17.00 w TMZZ.

Redakcja

Ma talent

Oglądając sobotnim wieczorem w telewizji program Mam Talent, zobaczyłyśmy występującą grupę akrobatyczną z naszego rodzinnego miasta.
Na tyle zainteresował nas ten występ, że postanowiłyśmy przeprowadzić wywiad z najmłodszą zawodniczką z grupy Ocelot, Natalią oraz z jej rodzicami - państwem Gap.

Echo: Co sadzili państwo o tym, że córka chciała wziąć udział w programie "Mam Talent"?
Jesteśmy pozytywnie nastawieni do tych występów, ponieważ rozumiemy
Natalię i wiemy, że jest to jej cel w życiu.

Echo: Czyj był to pomysł ze zgłoszeniem się do programu?
Był to pomysł grupy akrobatycznej "Ocelot". Bardzo zaangażowana w to
była p. Beata Pajączek, która prowadziła konsultacje w sprawie występu.
Nie zmuszaliśmy córki do występu. Sama podjęła się wyzwania.

Echo: Są państwo dumni z Natalii?
Jesteśmy bardzo dumni. Córka osiągnęła liczne sukcesy taneczne. Gdy
miała 7 lat, wystąpiła na Mistrzostwach Europy w Finlandii, zajmując dobre
miejsce. Bardzo potrzebne jest jej nasze wsparcie. liczy na naszą pomoc.

Echo: Jaka była reakcja państwa, gdy juz wiadomo było, że Natalka wystąpi w półfinale?
EUFORIA
Byliśmy bardzo zadowoleni, teraz gdy o tym wspominamy, tez jesteśmy. Brak
słów, by określić to, jak się wtedy czuliśmy.

Echo: Byli państwo zadowoleni z występu córki?
Tak, bardzo! Jesteśmy dumni, cieszymy się, że może spełniać swoje
marzenia, że ma możliwość kształcić się w Złotoryi. Ciągle wspieramy
ją i będziemy wspierać.

Echo: Od jak dawna Natalia ćwiczy akrobatykę?
Od niedawna, ok. jednego roku. Modern Dance w stylu disco i Hip-Hop'u od 6
roku życia. Brała udział w obozach tanecznych, min. Agustina Egurroli,
które były na dość wysokim poziomie. Sam prowadzący był bardzo zachwycony
jej umiejętnościami.

Echo: Jak państwo widzą dalszą przyszłość Natalii w tym sporcie?
Wszystko zależy od jej stanu zdrowia i tego, w jakim stopniu będzie szkolona.

Echo: Córka ma jeszcze jakieś zainteresowania? Oprócz sportu oczywiście.
Interesuje się teatrem, piosenką i tańcem. Występując w konkursach wokalnych i recytatorskich zdobywa nagrody. Pani w szkole sama typuje ją do
poszczególnych ról w recytacji czy piosence.

Parę dni po przeprowadzeniu wywiadu z rodzicami Natalii Gap udało nam się zadać kilka pytań naszej złotoryjskiej gwieździe.

Echo: Jak zaczęła się twoja przygoda z akrobatyką?
Na akrobatykę poszłam tak naprawdę po to, by pomogła mi w tańcu. Wcześniej nie zastanawiałam się, nie miałam pojęcia, że mogłabym wziąć udział w programie.

Echo: Jaka była twoja reakcja, gdy dowiedziałaś się, że zostałaś przyjęta do programu „Mam talent"?
Byłam wtedy na obozie tanecznym Agustina Egurroli, gdy w południe zadzwonili do mnie rodzice, powiedzieli mi, że dostałam się do następnego etapu. Byłam bardzo szczęśliwa, choć nie przeżywałam tego tak bardzo, ponieważ nie docierało to do mnie jeszcze.

Echo: Ile czasu trwały wasze treningi przed występem? I jak wyglądały?
Były ciężkie, chłopcy ćwiczyli głównie w swoim gronie, a ja na szarfach i innych tego rodzaju przyrządach.

Echo: Jak współpracowało się kolegami?
Bardzo dobrze, byli dla mnie mili, nie sprawiali problemów, gdy coś nie wychodziło. Wspaniale nam się razem trenuje.

Echo: Czy stresowałaś się i miałaś obawy, że pomylisz prezentowany układ?
Tak, w sumie to bardziej bałam się o chłopców, by nic im się nie stało i by nie pomylili się podczas prezentacji. Na castingu nie prezentowałam bardzo skomplikowanych figur, więc miałam mniej obaw.

Echo: Jakie były twoje odczucia, gdy oceniało was jury?
Gdy skończyliśmy występ, nie wiedziałam, co się dzieje, nawet nie wiem, kiedy mieliśmy zejść ze sceny. Byłam w lekkim szoku <śmiech> Do dziś jestem bardzo szczęśliwa, że wszystko się powiodło.

Echo: Planujesz dalej zajmować się akrobatyką?
Tak naprawdę nie zastanawiałam się jeszcze, co chciałabym robić w przyszłości, jednak nie widzę siebie w tym sporcie. Bardziej interesuje mnie taniec i muzyka.

Echo: Dziękujemy, że chciałaś nam udzielić wywiadu, życzymy dalszych sukcesów w sporcie oraz innych dziedzinach, którymi się zajmujesz.

Rozmawiały: Ewelina Kowalska i Małgorzata Hanaczewska

Rozstrzygnięcie konkursu

Fot. Bartosz Jeziorski

6. listopada odbyło się wręczenie nagród uczestnikom III Internetowego Konkursu Wiedzy o Ziemi Złotoryjskiej. Główną nagrodę – aparat cyfrowy – z rąk Starosty Złotoryjskiego Ryszarda Raszkiewicza i Prezesa Stowarzyszenia Przyjaciół Złotoryi Przemysława Markiewicza odebrała Anetta Chojnecka.

Na każdego uczestnika czekały nagrody ufundowane przez sponsorów w postaci akcesoriów komputerowych, wydawnictw złotoryjskich, folderów, segregatorów i gadżetów. Osobom, które nie mogły stawić się osobiście w sali konferencyjnej Starostwa Powiatowego, nagrody zostaną dostarczone w najbliższym czasie na podane wcześniej adresy korespondencyjne.

Po raz trzeci honorowy patronat nad konkursem objął Starosta Złotoryjski – Ryszard Raszkiewicz. Sponsorami nagród byli: Starostwo Powiatowe, złotoryja.INFO – Bartosz Jeziorski, GOLDcentrum – Kinga Maciejak, PPUH Z-JA.PL. Patronat medialnym nad konkursem objęło ECHO Złotoryi – miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej i Złotoryja.INFO – Złotoryjski Portal Internetowy.

Przemysław Markiewicz

Tu kupujesz na własne ryzyko

Bazar w całej okazałości

Targowisko miejskie przy ulicy Staromiejskiej to jakby wrzód na zdrowym ciele coraz to piękniejszej Złotoryi. Jego brzydotę podkreśla betonowy parkan, którym odgrodzono plac od reszty miasta. Kramy posklecane byle jak z kawałków blachy falistej, płyt paździerzowych, dykty, a nawet tektury ze zużytych pudełek, przypominają bardziej slumsy brazylijskie niż punkty sprzedaży w państwie, które jest członkiem Unii Europejskiej. Szpetnej całości dopełnia nawierzchnia placu. Jest to częściowo asfalt z wieloma dziurami, pęknięciami i ubytkami, częściowo odpad bazaltowy, gdzieniegdzie spękany niemiłosiernie beton; w dwóch miejscach zaskakuje estetyczna kostka betonowa. Podczas deszczu w licznych zagłębieniach gromadzi się woda i błoto. Gdy jest sucho, nad placem unosi się pył wzniecany przez nogi kupujących, który następnie wdzięcznie osiada na sprzedawanych butach, ubraniach, garnkach, owocach, słodyczach i innych produktach.

Niezwykle malowniczy zakątek targowiska jawi się w przejściu od strony ulicy Żeromskiego, tuż przy kramach z jajami. Nad brudnymi schodami z odpadającymi płytkami wznosi się murek, który wygląda, jakby miał się za chwilę rozlecieć. Jego zwieńczenie stanowią kwietniki z szarego betonu - hit z epoki słusznie minionej. W kwietnikach rosną dorodne… chwasty.

Kiedyś przy głównej bramie był regulamin targowiska opracowany przez zarządcę i właściciela gruntu - Urząd Miejski w Złotoryi. Teraz regulaminu nie ma, zostały za to bardzo kolorowe i czytelne tablice straszące samymi zakazami.

Na bazarze woda jest tylko w toalecie, prąd mają nieliczne kramy. Plac nie jest oświetlony, co powoduje, że o zmierzchu stanowi czarną plamę na tle dobrze oświetlonego parkingu przy domu handlowym Mirosława Zwierzyńskiego.

Targowisko ma swojego opiekuna, sprzątacza i inkasenta w jednej osobie. Jest to Jan Woch, który wykonuje swoje obowiązki na zlecenie Urzędu Miejskiego. Do pracy przychodzi o szóstej rano, otwiera wszystkie wejścia, potem inkasuje opłaty od każdego kramu i od każdego człowieka chcącego coś sprzedać na rynku. Plac zamykany jest o godzinie piętnastej. Jan Woch starannie zamyka wszystkie furtki, aby nikt się tu nie pałętał.

- Mieszkam tuż obok i mam cały czas baczenie na plac. Gdy widzę, że ktoś jest tu obecny, proszę o opuszczenie tego terenu. Bać się? Ja się nikogo nie boję - gospodarz bazaru zuchowato daje do zrozumienia, że lepiej z nim nie zadzierać.

Za każde stoisko pobierana jest opłata dzienna w wysokości 1,10 zł za każdy metr powierzchni. Do tego dochodzi 10 zł opłaty dla stałych budek. Można przyjąć, że średnia opłata za stoisko to 30 zł dziennie. Na bazarze jest około pięćdziesięciu stałych kramów, a więc łatwo wyliczyć, że dziennie do budżetu miasta trafia około 1500 złotych, co miesięcznie daje niezłą sumkę około 40 tysięcy złotych. Są to szacunkowe wyliczenia, raczej zaniżone. Dla porównania przy ulicy Basztowej jest około pięćdziesięciu punktów handlowych, z których zysk dla miasta to jedynie podatek gruntowy. Dość mizerny.

Przy wejściu straszą zakazy

Wydaje się zatem, że burmistrzowi powinno zależeć na utrzymaniu handlu na targowisku. Tymczasem wygląd bazaru oraz warunki na nim panujące mogą świadczyć, że jest odwrotnie. Trzeba jednak przyznać, że miasto kilka lat temu podjęło wysiłek przeprowadzenia remontu w tym miejscu. Zwieńczeniem tychże wysiłków było uzyskanie od Starostwa Powiatowego w 2006 roku pozwolenia na budowę pod nazwą „rewaloryzacja terenu handlowego przy ulicy Staromiejskiej". Dokument jest ważny trzy lata. Przez dwa lata nic się nie działo, bo były utarczki władz miasta z handlowcami, którzy mieliby jakoby partycypować finansowo w tym przedsięwzięciu. Nie wszyscy chcieli. Według Waldemara Wilczyńskiego, pracownika Starostwa, w lutym 2008 roku został zarejestrowany dziennik budowy na rewaloryzację targowiska, a zatem jakieś prace wtedy zostały wykonane.

- Ja mam przyzwoitą budę, zadaszoną. Mam też prąd, dlatego nie zależy mi ani na nowej hali, ani na rewaloryzacji targowiska - tłumaczy jeden z handlowców. - Niech burmistrz zrobi tylko porządną nawierzchnię. To wystarczy.

Elżbieta, prowadząca od piętnastu lat stragan warzywny twierdzi, że klienci często się potykają o nierówny asfalt, zdarzają się też upadki.

- Kilka lat temu oglądaliśmy całość dokumentacji na remont placu z niezbędnymi podpisami i pieczęciami. Planowano wykonanie odwodnienia, miała być porządna nawierzchnia oraz nowe, estetyczne budki. Obiecywano też prąd, podłączenie do wody. Cała spożywka miała być przeniesiona na górną część bazaru. Nawet konserwator zabytków wydał zgodę na modernizację. Wszystko było gotowe, tylko wchodzić i zaczynać. Nie wiemy, dlaczego do tej pory nie przystąpiono do remontu - żali się Elżbieta.

Leszek, bardzo uprzejmy, a wobec kobiet wręcz kurtuazyjny (nic dziwnego, że kobiety lubią u niego kupować warzywa) tylko się śmieje z tej sytuacji.

- Kurde, najbardziej brakuje wody w pobliżu stoiska, no i prądu. Brak rozdzielek. Co, nowe kramy na Konopnickiej? Ja tam już mam miejsce! Od kilku lat! - Kramarz wybucha niepohamowanym śmiechem. - Przed wyborami samorządowymi i zaraz po nich były piękne plany. Potem wszystko się skończyło. Ale, kurde, zbliżają się kolejne wybory samorządowe, więc wróci temat nowej hali targowej, nowych bud… - Tu znowu pan Leszek wybucha śmiechem a potem macha ręką z rezygnacją.

Maryla Jarkiewicz, kierowniczka laboratorium złotoryjskiego Sanepidu dowodzi, że tak naprawdę nie ma przepisów, które by określały wymogi, jakie winno spełniać targowisko. W związku z tym Sanepid nie ma podstawy prawnej, aby wpłynąć na burmistrza, żeby ten zdecydował się na poprawę warunków na bazarze. Jeśli chodzi o handel, to kramy stałe na bazarze podlegają takim samym przepisom, jak inne punkty handlowe. A zatem sprzedawcy artykułów spożywczych muszą mieć aktualne książeczki do celów sanitarno-epidemiologicznych, które są okresowo (raz na rok lub na dwa lata) kontrolowane. Fakt ten jest rejestrowany przez pracownika sanepidu w specjalnym zeszycie sprzedawcy. Poza tym kontroli podlega również czystość bieżąca i ogólna estetyka.

- Osoby, które od czasu do czasu sprzedają na bazarze produkty spożywcze typu śmietana, twaróg i tym podobne, nie muszą mieć żadnych badań. W zasadzie na produkty z gospodarstw rolnych powinno się mieć jakieś zaświadczenie, że są objęte kontrolą weterynaryjną lub certyfikat gospodarstwa ekologicznego. Ale to raczej fikcja. Każdy więc u takich okazjonalnych sprzedawców kupuje na własne ryzyko. A jak się klientom nie podoba, to mogą zrobić bojkot bazaru i nie kupować. Przecież jest tyle sklepów w mieście, gdzie można kupować bezpiecznie i równie tanio a czasem i taniej niż na rynku - twierdzi pani kierownik.

Co do grzybów, to sprzedający musi mieć na nie certyfikat, który wyda od ręki na żądanie sprzedającego specjalista grzyboznawca z Sanepidu. Koszt takiego dokumentu to nie więcej niż dziesięć złotych. Sprzedawanie grzybów bez takiego certyfikatu jest zabronione, a w przypadku zakupu bez tego dokumentu narażamy zdrowie, a nawet życie swoje i bliskich.

Zimą bazar wygląda nieciekawie, jest trochę nudno. Bo i warzyw nie ma zbyt wiele, zimno, często pada. Klienci załatwiają zakupy szybko i uciekają do ciepłych domów. Trochę się ożywia przed Bożym Narodzeniem. Pojawiają się kramy z ozdobami świątecznymi, wszędzie można kupić chińskie światełka, w wielkich kadziach pływają wigilijne karpie. Jak się dobrze poszuka, to można nawet kupić królika na pasztet. Na własną odpowiedzialność. Po świętach targ znów zamiera.

Z wiosną następuje ożywienie. Z warzyw pojawiają się nowalijki, sprzedawane są rozsady kwiatów i warzyw, przybywa nowych straganów. Kobiety chętniej kupują ciuchy, których na targu jest spory wybór. Pojawiają się kwitnące kwiaty, które ustawiane obok siebie na ziemi litościwie przykrywają zdegradowaną nawierzchnię. Od czasu do czasu pojawia się handlarz - oryginał głośno zachwalając i demonstrując jakąś tarkę alko młynek, które świetnie działają tylko w jego rękach. Kupione i przyniesione do domu często okazują się zwykłym bublem.

Ale chyba najpiękniej targ wygląda na koniec października, gdy handluje się chryzantemami na groby. Złociste, fioletowe, śnieżnobiałe ustawione ciasno obok siebie, nagle tworzą z szarego targowiska cudowną, barwną enklawę. Obrazu dopełniają kolorowe znicze ustawione nieopodal w piramidy.

A w tym wszystkim dwoją się i troją kramarze. Biegają, wybierają, doradzają, podają nawet przepisy kulinarne. Zawsze grzeczni, zawsze uprzejmi. Zimą ubrani jak na Sybir, latem duszą się z gorąca.

- Zimą też pracujemy. Nawet jak jest minus dziesięć, to też się stoi. Ubieramy się w dwie kurtki, dwie pary spodni i bardzo ciepłe buty. Poza tym jesteśmy już odporne - mówi Elżbieta między pakowaniem warzyw a inkasowaniem należności.

Ela ze *spożywki*:

- Raz podgrzejemy tył, raz przód i jakoś idzie. Minus jeden? Nie zwracam na to uwagi. To normalna temperatura. A gdy jest minus pięć, to ubieramy buty na grubej podeszwie.

Lucjan z kramu agd przyzwyczaił się do warunków.

- Targuję tutaj już czternaście lat. Jesienią i zimą grubo się ubieram, a gdy jest bardzo zimno, włączam gazowy piecyk. Przy dużych mrozach po prostu nie przychodzę do pracy. Mam tutaj prąd i czasem dogrzewam się też piecykiem elektrycznym.

W Złotoryi jest już kilka dużych marketów, w których można tanio kupić świeże warzywa i owoce. Ofertę uzupełniają małe warzywniaki osiedlowe, w których ceny są porównywalne z tymi w marketach. A i wybór jest spory. Niejednokrotnie ceny warzyw i owoców w sklepach są niższe od tych na targu. Po co zatem bazar w mieście? Wydaje się, że potrzebny jest jedynie do zasilania kasy miejskiej. Jednak oprócz zwykłego kupowania i sprzedawania również kwitnie tu życie towarzyskie. Wielu złotoryjan przychodzi jedynie po to, aby popatrzeć na stragany lub spotkać znajomych, z którymi można pogawędzić, wymienić najświeższe plotki. Żal, że w pobliżu nie ma jakiegoś lokaliku, gdzie można by było wejść na kawę i kontynuować rozmowy.

Na stałe w krajobraz złotoryjskiego bazaru wpisuje się malownicza grupka mężczyzn w skupieniu pochylonych nad szachownicą na prowizorycznym stoliku utworzonym z kilku kartonów. Powaga! Tu jest uprawiana rozrywka umysłowa na wysokim poziomie. O każdej porze każdego dnia targowego rozgrywa się jakaś partia szachów. Zawsze towarzyszą temu kibice.

Jeśli kiedyś bazar zostanie upchnięty w hali targowej, coś bezpowrotnie stracimy. Nie będzie już machania do znajomych zauważonych na drugim końcu placu, nie będzie dywanów z chryzantem i niepowtarzalnej grudniowej atmosfery z prószącym śniegiem z ciemnego nieba przed Bożym Narodzeniem. A jak mówi jeden z kramarzy *na cholerę nam jakaś hala? Przecież nie musi być od razu kosmos, prawda? Można skromnie wyposażyć targowisko i grać!*

Tekst i zdjęcia : Agnieszka Młyńczak

Zdegradowana nawierzchnia

Szachiści

Gierałtowiec - wieś niezwykła - część II

Warsztaty Mechaniczne w Gierałtowcu

Zespół PGR-ów, zwany popularnie zespołem, powstał w 1947r. Biura znajdowały się w obecnym budynku szkoły (nr 42). Dyrektorem założycielem był Czesław Głuszek. Po likwidacji Zespołu powstały Warsztaty Mechaniczne w Gierałtowcu, które zawsze podlegały PGR-om. Ich zadaniem była naprawa sprzętu rolniczego oraz pojazdów. Obiekt posiadał hale na maszyny, stolarnię, kuźnię, tokarnie oraz magazyny. Remontowany sprzęt był własnością poszczególnych gospodarstw: Podolany, Łukaszów, Ernestynów, Wilków, Łaźniki, Prusice, Owczarki a także Złotoryja 5 i 7.

Od 1972r. Warsztaty należały do PGR Ernestynów. Kierowali nimi kolejno: Józef Szapował, Adolf Czenasz, Henryk Szapował. Pierwszymi pracownikami byli: Franciszek Karwan, Adolf Karwan, Józef Boczulak, Stanisław Chamski, Jan Okiński.

Przez kilka lat Warsztaty podlegały Kombinatowi Rolnemu w Chojnowie, którym kierował Witold Prabudzki, a także złotoryjskiemu Kombinatowi Rolnemu, którego dyrektorem był Franciszek Birowski. Pracownicy z najdłuższym stażem to: Bronisław Sowa, Mieczysław Karwan, Roman Sowa, Feliks Mak, Henryk Szapował, Antonii Najduk, Jan Taf.

W 1995r. PGR-y uległy likwidacji a ich majątek oddano w dzierżawę i do wykupu. Podobny los spotkał Warsztaty. Obecnie dzierżawi je Josef Dauck.

Kółko Rolnicze w Gierałtowcu

Kółko Rolnicze w Gierałtowcu powstało w 1963 roku z inicjatywy rolników. Po wpłaceniu składek członkowskich , które wynosiły 100 zł od jednego członka oraz 70 zł od 1ha. Uruchomiono konto Funduszu Rozwoju Rolnictwa. W roku 1963 zakupiono ciągnik Ursus C328 oraz sprzęt towarzyszący jak pług, brony i kultywator. Zatrudniony został traktorzysta do obsługi sprzętu, był nim Bronisław Kowalczuk.

W latach 1964 – 69 dokupiono sprzęt rolniczy i zatrudniono drugiego traktorzystę - Władysława Orłowskiego. Ze względu na brak pomieszczeń na sprzęt, przechowywano go u członków Kółka Rolniczego. Dla usprawnienia działalności Kółka wybrano zarząd KR, który w początkach działalności zmieniał się kilkakrotnie. Ostatecznie wybrano prezesa zarządu Kółka Rolniczego, któremu powierzono zarządzanie sprzętem; został nim Józef Karwan, następnie Jan Okiński.

Szkoła Podstawowa w Gierałtowcu

Do SP w Gierałtowcu dowożeni są uczniowie z 11 okolicznych wiosek. Obecnie (2009r.) w szkole uczy się 181 uczniów w 10. oddziałach – od 5-latków do klasy VI. Zatrudnionych jest 17 nauczycieli i 11 pracowników administracji i obsługi. W kl. I – VI nauczany jest j. angielski, a w kl. IV – VI dodatkowo język niemiecki. Po zajęciach lekcyjnych odbywają się liczne koła zainteresowań i zespoły dydaktyczno-wyrównawcze. Wydawana jest szkolna gazetka - „Rakietka". Placówka bierze udział w realizacji projektów o charakterze edukacyjnym: „Cztery pory roku w lesie i pracy leśnika", „Ptasi karmnik edukacyjny", „Trzymaj Formę", „Jesteśmy przyjaciółmi dzieci z Bullerbyn", „W magicznym świecie baśni". W latach 2003-2006 Szkoła Podstawowa w Gierałtowcu brała udział w międzynarodowym projekcie Socrates-Comenius współpracując ze szkołami we Włoszech, Rumunii i Hiszpanii. W latach 2006-2007 realizowany był projekt organizacji Dnia Dziecka ze Stowarzyszeniem „Parafiada" – „Ruch Rzeźbi Umysł, Serce i Ciało". Uczniowie uczestniczą w projektach o charakterze profilaktycznym w ramach kampanii „Zachowaj Trzeźwy Umysł".

Przy szkole działa UKS „Żak". Uczniowie trenowani przez Zenona Baranowskiego odnoszą wiele sukcesów sportowych w tenisie stołowym. Brak sali gimnastycznej nie jest również przeszkodą w odnoszeniu sukcesów w trójboju lekkoatletycznym –np. I miejsce w strefie zajęli chłopcy rywalizując z 27 szkołami, w tym sportowymi z Lubina, Polkowic i Legnicy. Są też małe zwycięstwa w turniejach szachowych.

Uczniowie uczestniczą w zajęciach muzycznych, edukacji filmowej, wyjeżdżają na wycieczki, okazyjnie jeżdżą na basen. Szkoła dysponuje nowoczesną pracownią komputerową, do której sprzęt został zakupiony z Europejskiego Funduszu Strukturalnego w 2008 r. Na korytarzach i zewnętrznych murach budynku zainstalowane są kamery, które pozyskano uczestnicząc w rządowym projekcie „Monitoring wizyjny w placówkach oświatowych". Dzieci biorą udział w międzynarodowym konkursie matematycznym i polonistycznym Kangur i Olimpus oraz historyczno-polonistycznym „Krąg". Szkoła współpracuje z wieloma instytucjami na terenie powiatu złotoryjskiego i legnickiego; uczniowie występują w świetlicach wiejskich, kościołach w Brenniku i Lubiatowie oraz ZOK-u w przedstawieniach oraz z prezentacjami multimedialnymi z okazji uroczystości związanych z rocznicami wyboru Jana Pawła II na papieża, rocznicami śmierci Ojca Świętego, jasełkami, misteriami wielkanocnymi, w związku z Dniem Dziecka, Dniem Matki, Dniem Babci i Dziadka.

Dzieci mają w szkole zapewniony bezpieczny pobyt, dożywianie i opiekę. W roku szkolnym 2008/09 przeprowadzono w ramach modernizacji – przebudowę kotłowni z węglowej na gazową, wymianę stolarki okiennej, ocieplono strop, zakonserwowano blachy i więźbę dachową. W 2009r. rozpoczęły się prace związane z budową sali gimnastycznej i bloku żywieniowego.

W zabytkowym parku, na terenie którego znajduje się budynek szkoły, przeprowadzono przegląd drzewostanu, w wyniku którego pielęgnacyjnie przycięto konary starych drzew oraz wycięto wskazane przez pracownika Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Legnicy, zagrażające bezpieczeństwu. Planowane są nasadzenia nowych odpowiednich gatunków drzew.

SPORT

Prekursorem sportu w Gierałtowcu był nieżyjący już (zm. 2004) Adam Kiełbasa, który do Gierałtowca przybył w roku 1968 z Sokołowca; pełnił funkcję dyrektora szkoły do 1975r.

Stworzył on mocny team lekkoatletyczny, odnoszący sukcesy na terenie ówczesnego powiatu złotoryjskiego, przede wszystkim w wielobojach lekkoatletycznych. Podobne sukcesy odnosili tenisiści stołowi. Najlepsi sportowcy z tego okresu to m.in. Anna Orzeł, Danuta Podsiadło, Grażyna Orłowska, Władysław Uroda, Tadeusz Szapował, Lucyna Szapował, Czesław Ziembicki, Krzysztof Orłowski, Henryk Chlebosz, Anatol Mazurek.

Od roku 1972 w szkole jest zatrudniony Zenon Baranowski. Przez kilka lat tworzyli z A. Kiełbasą dobrze rozumiejący się duet, budujący jeszcze mocniejsze fundamenty pod późniejsze osiągnięcia lekkoatletów na szczeblu woj. wrocławskiego, legnickiego, dolnośląskiego, makroregionu i Polski. Kolejne lata działalności tych dwóch trenerów znaczy pasmo sukcesów młodych sportowców z Gierałtowca, szczególnie w lekkiej atletyce i tenisie stołowym. Młodzi sportowcy z tej wsi znani są dzisiaj niemal w całej Polsce. Zestawienie rozlicznych sukcesów zasługuje na odrębną publikację.

Gminny Ośrodek Zdrowia przedstawia Urszula Szapował

Otwarcie wiejskiego Ośrodka Zdrowia w Gierałtowcu miało miejsce 1 VII 1970 r.; należał on do Zespołu Opieki Zdrowotnej w Złotoryi. WOZ od początku mieści się na parterze budynku nr 33.

Do WOZ w Gierałtowcu należał: Łukaszów, Brochocin, Lubiatów, Kwiatów, Owczarki, Gierałtowiec, Podolany, Strupice, Ernestynów, Czortkowice, Brennik.

Ośrodek posiadał wyposażenie podstawowe, była również radiostacja. Zadaniem było leczenie ogólne pacjentów, a także profilaktyka i badania kontrolne dla szkół. Nie było problemów z dostępem do specjalistów. Karetka woziła lekarza na wizyty domowe oraz pielęgniarki na wizyty patronażowe noworodków i niemowląt.

Pierwszym lekarzem był Paweł Wróbel – specjalista radiolog. Mieszkał wraz z rodziną w budynku WOZ. „Był to stateczny pan, który kochał przyrodę. Sam nasadzał drzewa i krzewy, przycinał je i pielęgnował. Palił fajkę, lubił czystość i porządek. Jego żona Leokadia była wielką społecznicą, była również radną" - wspomina Urszula Szapował, była pielęgniarka. Oprócz niej pracowała tu też dr Krystyna Merle, pomoc dentystyczna Helena Orzeł, rejestratorka Leokadia Wróbel oraz sprzątaczka Stanisława Fogiel.

W 1973 r. odeszły wyżej wymienione pielęgniarki, a pracę rozpoczęły: Stanisława Lewandowska i Urszula Bartoszewska-Szapował oraz lekarz stomatolog Maria Grzywaczewska.

W 1979 r. doktor Paweł Wróbel wyjechał, a przybył Lech Kukała – specjalista ginekolog. Zmienia się znowu lekarz stomatolog i przybywa Mirosław Szymonek. Nic się nie zmieniło w wyposażeniu ośrodka. Zaczęła funkcjonować poradnia ginekologiczna „K" – przyjęcia były dwa razy w tygodniu.

W roku 1980 zachodzą zmiany w zatrudnieniu stomatologa – przychodzi doktor Wojciech Kubik. W rejestracji rozpoczyna pracę Teresa Pajor, oraz nowa pielęgniarka - J. Komarnicka. W 1982 r. stomatologiem został Paweł Walewski, a położną Beata Walewska.

W 1990 r. kończy pracę Lech Kukała, zaś przybywa lekarz pediatra, Elwira Gogula. Były nadal zatrudnione dwie pielęgniarki: Urszula Szapował i Halina Bobkowicz-Wilczopolska. Funkcjonuje gabinet zabiegowy, punkt szczepień, odwiedziny u noworodków i higiena szkolna. Do powstałego laboratorium sprzęt zakupiła gmina. Zakupiono również aparat EKG. Powstał Gminny Zespół Zakładów Opieki Podstawowej w Złotoryi – przestały istnieć ZOZ-y. Wciąż zmieniają się stomatolodzy: Małgorzata Garwal, Małgorzata Paluch, obecnie Piotr Moroch. Funkcję pomocy dentystycznej nadal pełni Teresa Posmyk. W rejestracji pracowała Helena Orzeł, a obecnie Teresa Czuchnicka. Poradnia „K" działała krótko – lekarz dojeżdżający to dr Krzysztof Bardega.

Obecnie dr Elwira Gogula pracuje ponadto w Ośrodku Zdrowia w Wilkowie. Z chwilą powstania Gminnego Ośrodka Zdrowia w Gierałtowcu dr Elwirze Goguli podlegają również ośrodki w Rokitnicy i Wilkowie - Osiedlu.

Ośrodek Zdrowia w Gierałtowcu wykonuje bezpłatne badania dla ludności: spirometria – badanie pojemności płuc, badania w kierunku osteoporozy, badanie okulistyczne w zakresie doboru szkieł i oprawek, badanie poziomu cukru i cholesterolu.

Gromadzką Bibliotekę przedstawia Lucyna Markowska

Gromadzka Biblioteka w Gierałtowcu powstała w 1955 r. Mieściła się w budynku Gromadzkiej Rady Narodowej w Gierałtowcu (nr 7) na piętrze, w dwóch pomieszczeniach po prawej stronie.

Pierwsza książka wpisana do księgi inwentarzowej to „Chłopcy z placu broni" dnia 9.07.1955 r.

W 1972 r. Gromadzka Rada Narodowa w Gierałtowcu przestaje istnieć i powstaje Urząd Gminy Złotoryja. Biblioteka zmienia nazwę na Bibliotekę Publiczną Gminy Złotoryja Filia Gierałtowiec i podlega Urzędowi Gminy. Zostaje przeniesiona do budynku nr 32. Biblioteka i poczta mieści się na piętrze. Biblioteka zajmuje powierzchnię 32 m².

Od 1.04.1988 – 31.03.1992 r. biblioteka podlega Miejskiej Bibliotece Publicznej w Złotoryi (Urząd Gminy połączono z Urzędem Miasta), nazwa biblioteki brzmi: Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Złotoryja Filia Gierałtowiec.

1.04.1992 r. biblioteka znów podlega Urzędowi Gminy Złotoryja (z chwilą odłączenia się Urzędu Gminy od Urzędu Miasta) i przyjmuje poprzednią nazwę.

W 1995 r. pocztę przeniesiono do budynku po Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", a biblioteka po remoncie w 1996 r. zagospodarowuje powierzchnie po poczcie, obecnie powierzchnia biblioteki to 84 m².

W 2001 r. zostaje doprowadzona woda oraz zamontowano urządzenia sanitarne. W 2007 r. wykonano elewację budynku.

Biblioteką kierowały kolejno: Józefa Szumczyk, Helena Piróg, Krystyna Gąsiewska, Alina Mak, Ryszard Mak, Elżbieta Drzyzga i Lucyna Markowska (nadal).

Do 1988 r. było 5 punktów bibliotecznych podlegających bibliotece w Gierałtowcu: Ernestynów – Maria Przybysz, Brennik – Władysław Gryś, Lubiatów – Stanisława Nowak, Pyskowice – Stanisław, Kazimierz Melski, Podolany – Waleria Smaś, 1990 r. 2 punkty: Ernestynów, Lubiatów, 1991 r. został 1 punkt biblioteczny w Ernestynowie – (jest do chwili obecnej). W 1988 r. zostały 3 punkty biblioteczne: Ernestynów, Brennik, Lubiatów;

Środki na działalność biblioteka otrzymywała początkowo z Gromadzkiej Rady Narodowej, a następnie z Urzędu Gminy, zdarzają się dotacje z Ministerstwa Kultury oraz dary od osób prywatnych.

Liczba tomów dzieł zgromadzonych przez bibliotekę wynosi na dzień 31.12.2008 r. 10597 woluminów.

Wśród nich znajdują się pozycje wydane przez TMZZ oraz UG, a dotyczące Ziemi Złotoryjskiej, a także Gierałtowca. Biblioteka gromadzi też czasopisma, w tym „Echo Złotoryi".

Oprócz typowej dla pracy bibliotek czynności wypożyczania, placówka organizuje także konkursy: literackie, rysunkowe, przygotowuje wystawy na temat ważnych rocznic literackich, realizuje program ferii zimowych.

Od 2007 r. biblioteka posiada dwa komputery, dzięki czemu czytelnicy mają dostęp do internetu.

Działalność świetlicy przedstawia Elżbieta Sowa

Świetlica w Gierałtowcu mieści się w budynku nr 32a;jest wyremontowana. Oprócz sali głównej posiada dobrze wyposażone zaplecze kuchenne i socjalne. Świetlica posiada stoły do ping-ponga, stoły bilardowe oraz różnorodne gry dla dzieci. Obiekt służy na co dzień dzieciom i młodzieży. Tu odbywają się treningi tenisowe. Organizowane są zajęcia w czasie ferii zimowych i wakacji. W tym czasie dzieci wykonują prace plastyczne, odlewy z gipsu, ozdoby z makaronu, a także przyrządzają potrawy i wypieki. Organizowane są również wyjazdy, np. do Miasteczka Miniatur w Szklarskiej Porębie, na basen w Polkowicach, do kina, muzeum, stadniny koni. Do świetlicy zapraszani są goście, którzy prowadzą pogadanki. Ponadto odbywają się pokazy żywieniowe z degustacją, stroików okolicznościowych oraz wytworów z owczej wełny. Organizowane są także uroczystości z okazji Dnia Babci i Dziadka, Dnia Dziecka, przygotowuje się wieńce dożynkowe.

Mieszkańcy wykorzystują świetlicę do organizowania przyjęć weselnych, pogrzebowych i tzw. „osiemnastek". Tu odbywają się też zebrania wiejskie, pokazy samoobrony, spotkania przed komunijne oraz szkolenia rolnicze. Od dwóch lat odbywają się próby śpiewu dzieci, które należą do scholki przy kościele.

Nowy Gierałtowiec

Gierałtowiec ma obecnie (2009r) 57 numerów, w tym aż 20 jest nowych. Właścicielami nowych domów są następujący mieszkańcy: Józef Siwy, Leszek Kardasz, Anna Kowalczuk, Feliks Okiński, Wiesław Bilik, Stanisław Wilczopolski, Stanisław Szkorupiński, Zbigniew Landeburski, Władysław Karwan, Mirosław Sowa, Ryszard Grygorcewicz, Jan Karwan, Tadeusz Karwan + Jacek Karwan, Stanisław Szapował, Wojciech Gogula, Wanda Jurkiewicz, Józef Łysiak, Jarosław Piętoń, Henryk Szapował, Jan Koczan.

Struktura gospodarstw rolnych Gierałtowca – (2009) według danych sołtysa Ryszarda Grygorcewicza

Areał	Liczba gospodarstw
1 - 1,5 ha	8
1,5 – 2 ha	2
2 – 3 ha	2
3 – 5 ha	4
5 – 7 ha	4
7 – 10 ha	5
10 – 15 ha	4
15 – 20 ha	1
20 – 30 ha	1
30 – 50 ha	2
50 – 100 ha	1
powyżej 100 ha	2

Sukcesy wspominają Weronika i Tadeusz Gajurowie

19 maja w roku 1980 przejęliśmy gospodarstwo po rodzicach (9.85 ha). W naszym gospodarstwie było kilka krów, kilkanaście sztuk trzody chlewnej, a na gruntach rolnych uprawialiśmy pszenicę, rzepak, buraki cukrowe i ziemniaki. W roku następnym nasze gospodarstwo powiększyło się o 4 ha gruntów rolnych i tak prowadziliśmy nasze gospodarstwo bez żadnych zmian do 1990r. Od 1990 roku pojawiły się możliwości, zakupu gruntów rolnych i powoli powiększaliśmy areał naszego gospodarstwa. W tym czasie rozpoczęliśmy współpracę z firmami chemicznymi. Różne firmy, które produkowały środki ochrony roślin, testowały nowe preparaty chemiczne na naszych uprawach, na naszych polach, a następnie przyjeżdżali rolnicy i oglądali efekty – były to tzw. dni pola. Taka współpraca trwała prawie 10 lat. Choć rzadko, ale do dziś jakieś małe doświadczenia jeszcze są prowadzone na naszych polach. W 1995r. w naszej gminie został zorganizowany po raz pierwszy konkurs na najbardziej zadbaną zagrodę wiejską, więc postanowiliśmy złożyć wniosek, aby wziąć udział w tym konkursie. W konkursie zajęliśmy I miejsce. Przy okazji dożynek w Rokitnicy zostałem również odznaczony odznaką honorową „Zasłużony dla Rolnictwa". W 1998r. zajęliśmy I miejsce w wojewódzkim konkursie „Nowoczesne – Bezpieczne – Ekologiczne Gospodarstwo Rolne", którego organizatorem był Wojewoda Legnicki. W roku 2000 i 2001 wygraliśmy konkurs w powiecie złotoryjskim na najładniejszą zagrodę wiejską powiatu złotoryjskiego. W 2000 roku Dolnośląski Wojewódzki Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Świdnicy wręczył nam dyplom za zajęcie III miejsca w wojewódzkim konkursie „Najładniejsza Zagroda". W roku 2003 , w konkursie organizowanym przez Kasę Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego, zajmujemy I miejsce „Bezpieczne Gospodarstwo Rolne" na etapie regionalnym i przechodzimy do etapu wojewódzkiego, w którym zajmujemy II miejsce w województwie dolnośląskim. W roku 2006 zajęliśmy I miejsce w konkursie na „Najładniejszą Zagrodę Wiejską" w „Partnerstwie Kaczawskim". Ponownie startujemy w 2007r. w „Ogólnokrajowym Konkursie Bezpieczne Gospodarstwo Rolne" i zajmujemy I miejsce na etapie regionalnym. Rok 2008 jest rokiem największych sukcesów- zajmujemy: I miejsce w konkursie „Nasza wieś czysta i zadbana" w kategorii gospodarstwo rolne na terenie naszej gminy; I miejsce na „Najładniejszą Zagrodę Powiatu Złotoryjskiego" oraz zostaliśmy Mistrzami Województwa w konkursie „Agro Liga 2008" w kategorii rolnicy. W związku z otrzymaniem tytułu Mistrza Województwa zostaliśmy zaproszeni na XVI edycję ogólnopolskiego konkursu „Agro Liga 2008" do stolicy. Dnia 13.03.2009r. gościliśmy w Ministerstwie Rolnictwa, tam został nam wręczony Dyplom Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi jako

Wicemistrzów Krajowych Agro Ligi 2008 w kategorii Rolnicy a przez Ministra Rolnictwa Marka Rawickiego, została także odznaczona Weronika odznaką honorową „Zasłużony dla Rolnictwa". Zostaliśmy też zaproszeni do Pałacu Prezydenckiego na uroczystą galę tego konkursu i z rąk Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej otrzymaliśmy list gratulacyjny oraz puchar. W 1990r. w naszym gospodarstwie zlikwidowaliśmy hodowlę bydła; po dokupieniu budynków, powiększyliśmy hodowlę trzody chlewnej. W chwili obecnej posiadamy 237 ha gruntów rolnych, zaplecze magazynowe na produkty rolne, bazę maszynową na miarę naszych potrzeb i w dalszym ciągu hodujemy trzodę chlewną w cyklu zamkniętym.

PASJONACI

„Skrzydlaci lotnicy" Jarosława Piętonia

Od najmłodszych lat fascynowały mnie gołębie pocztowe. Już jako dziecko lubiłem obserwować ich zachowanie. Mój pierwszy gołębnik miałem na strychu budynku mieszkalnego. Wówczas hodowli gołębi nie traktowałem jako coś szczególnego, była to raczej młodzieńcza fascynacja. Z biegiem lat hodowla gołębi pocztowych stała się częścią mojego życia. Zapisałem się do Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych. Związek zrzesza sporą grupę ludzi, których łączy wspólna pasja- gołębie pocztowe.

Każdego ranka wychodzę z domu by nakarmić i napoić gołębie. Czynności te powtarzam codziennie, tak jakby były to zwykłe obowiązki. Patrzę z podziwem jak podczas oblotu, skrzydła gołębi mienią się w słońcu. Zerkam jak stoją na klapie gołębnika wyprostowane, dostojne z "mądrym spojrzeniem" w oczach. Jednak najbardziej fascynuje mnie ich zmysł powrotno- lotowy oraz przywiązanie do rodzimego gołębnika. Te niewielkie istoty potrafią w ciągu jednego dnia przelecieć 1000 km, aby powrócić do „domu". Powracają do gołębnika z różnych stron Europy. Hodowla gołębi to nie tylko podziwianie tych pięknych i mądrych ptaków. Przez okres wiosenno- letni gołębie są lotowane. Co tydzień uczestniczą w locie z różnych odległości. W roku ,2009 jest np. zaplanowanych 16 lotów. Pierwszy lot rozpoczął się 160 km od gołębnika, ostatni w odległości 1000 km od gołębnika. Gołębie, które jako pierwsze powrócą do gołębnika są honorowane dyplomami, zdobywając dla hodowcy jakże cenne puchary. W czasie każdego lotu pierwsze 20% gołębi uczestniczących w locie zdobywa punkty, które ostatecznie wpływają na miejsce hodowcy w ogólnej klasyfikacji danej sekcji, oddziału, okręgu aż do Mistrzostw Polski. Te gołębie, które znajdą się w „czołówce" są chlubą hodowcy.

Kiedy zaczynałem lotować moje gołębie, nie odnosiłem prawie żadnych sukcesów. Dopiero po kilku latach moje gołębie zdobyły pierwsze dyplomy i puchary. Te drobne sukcesy (w porównaniu do czołowych hodowców) sprawiły mi wiele satysfakcji. Przez te wszystkie lata musiałem nauczyć się rozpoznawać moje gołębie nie tylko z wyglądu, ale też poznać ich predyspozycje. Musiałem dowiedzieć się czy dany gołąb sprawdza się w lotach krótko, czy długodystansowych, czy jest uparty i wraca niestrudzenie do domu, czy jest silny i potrafi przezwyciężyć złe warunki atmosferyczne. Hodowla gołębi pocztowych to wybór odpowiedniej metody lotowania, która po zastosowaniu przyniesie najlepsze wyniki. Jest sporo metod lotowania stosowanych przez hodowców oraz nieujawnianych sekretów hodowli gołębi. Ja również opracowałem metodę hodowli moich

ciąg dalszy ze strony 11

gołębi, oczywiście z pewnymi tajnikami. Powoli moja metoda przynosi sukcesy i chociaż są niewielkie, jestem z nich dumny. Poniżej przedstawiam moje gołębie oraz nagrody, które zdobyły

Hodowla gołębi pochłania dużo czasu, który mógłbym poświęcić rodzinie. Dlatego bardzo ważna jest aprobata i wyrozumiałość rodziny dla tego hobby. Chciałbym nadmienić, że w Gierałtowcu jako jedyny zajmuję się hodowlą gołębi pocztowych. Jest to piękny sport, który niestety ma bardzo niewielu kontynuatorów. Zachęcam przede wszystkim młodych ludzi do hodowli gołębi pocztowych. Chętnie będę służył pomocą i dobrą radą początkującym hodowcom

Pasję J. Piętonia dzieli Krzysztof Łysiak. Inne hobby mają: Mieczysław Karwan – pszczelarz, Józef Łysiak – rzeźbi w piaskowcu.

CIEKAWOSTKI

1. Pierwsze radio (nowe) kupił Bronisław Wilczopolski na talon w rok 1951-52.
2. Pierwszy telewizor kupił Bronisław Wilczopolski w 1958 r., drugi kupił GS, a w następnym roku świetlica PGR.
3. Pierwszy nowy motocykl „iz49" – 1956 r. kupił Adolf Czekasz.

Stanisław Wilczopolski wspomina: „kupiły ten motocykl moje ciocie po śmierci Stalina w 1954 r., potem dwa lata przestał w pokoju".

4. Pierwszy samochód – „Warszawa" (garbus) kupił Bronisław Wilczopolski 5 XII 1960 r. (zapłacił 120 tys.zł).
5. Pierwszy ciągnik kupił Bronisław Wilczopolski w grudniu 1962 r. w Kółku Rolniczym w Wilczycach. Potem dokupił przyczepę, snopowiązałkę, sadzarkę, kopaczkę do ziemniaków.
6. Woda dla bydła była doprowadzona tylko w gospodarstwie Państwa Wilczopolskich (poidła były wmontowane w żłoby). Wewnątrz budynku była jeszcze woda u Państwa Gajurów i Ziembickich.
7. Państwo Wilczopolscy zakupili pierwszy kombajn zbożowy – typu „Vistula".

Materiał o wsi zgromadzili i opracowali mieszkańcy Gierałtowca: Z. Baranowski, W. i T. Gajurowie,R. Grygorcewicz, A. Karwan, V. i A. Kiełbasowie, L. Markowska, M. Masłowska, W. Pająk, J. Piętoń, E. Sowa, U. Szapował, Z. Tryszpiot, M. i St. Wilczopolscy, D. Wilk – pod kierunkiem Marii Szapował oraz A. Michler.

Uzupełnienie

Widać zazdrosny chochlik spowodował, że w artykule dotyczącym konkursu o Wilkołaku (Echo z października b.r.) wśród laureatów pominięto **Katarzynę Grabarczyk** z LO, która, wspólnie z **Agnieszką Gorgolewską**, zajęła pierwsze miejsce w kategorii szkół ponadgimnazjalnych. Za błąd serdecznie przepraszamy!

Ten sam chochlik nie podpisał zdjęć w reportażu z sesji o Wilkołaku, za co bardzo przepraszamy autora - **Przemysława Bartkiewicza**.

Redakcja

Joanna Koszałkowska na wystawie autorskiej w otoczeniu prezesa TMZZ Aleksandra Borysa oraz swojego wychowawcy z V LO w Legnicy - Krzysztofa Makowskiego. Fot. Krzysztof Koszałkowski

Fotografia według Joanny

Świat fotografii odkrył przede mną mój tato, kiedy byłam jeszcze w podstawówce. Pokochałam cudowny zapach ciemni i od tamtej pory nie wyobrażam sobie życia bez dźwięku migawki i opadającego lustra w aparacie. Fotografia stała sie moim hobby, moją pasją i sposobem na wyrażanie siebie oraz mojego postrzegania świata i ludzi. **Tak mówi o sobie Joanna Koszałkowska – osiemnastoletnia złotoryjanka, której wystawę fotografii można obejrzeć w siedzibie TMZZ od 18 listopada.**

Iwona Pawłowska: Spodziewałaś się tak wielu gości na otwarciu swojej wystawy w TMZZ?

Joanna Koszałkowska: Tak, zaprosiłam mnóstwo ludzi w tym dyrektora mojego liceum i wychowawcę. Bez tych ludzi nie miałabym okazji zrobić swojej pierwszej wystawy w galerii naszej szkoły.

I.P: Wybrałaś V LO w Legnicy właśnie z powodu sztuki.

J.K: Tak, tam jest klasa plastyczna. Mamy zajęcia warsztatowe, czyli lekcje przy sztalugach z żywymi modelami. Oceny dostaje się nie tylko za malunki czy rysunki, ale również za modelowanie. Nasz szkoła jest jedyną w Polsce, która daje możliwość zrobienia certyfikatu ze sztuki. Wybiera się wtedy dwie ścieżki rozwoju (np. portret czy martwa natura) i robi projekt. Można skoncentrować sie wtedy na fotografii, ale ja wybrałam sztukę, gdzie łączę zdjęcia, malarstwo i rysunek.

I.P: Macie w liceum również lekcje fotografii?

J.K: Fotografia nie jest osobnym przedmiotem, ale moim wychowawcą jest artysta Krzysztof Makowski, któremu zawsze mogę pokazać zdjęcia. On pomoże, wytłumaczy, co jest nie tak. Mimo, że moją pasją jest robienie zdjęć, to uważam, że malarstwo stanowi jednak podstawę. Tworząc fotografię, trzeba znać zasady obowiązujące na obrazie, przede wszystkim kompozycję.

I.P: Tytuł Twojej wystawy „Paralaksa", jest nieco enigmatyczny dla laika. Co znaczy użyte przez Ciebie słowo?

J.K: To słowo odnosi sie do fotografii dwuobiektywowej, chodzi o to, że przez jeden obiektyw patrzy się na przedmiot, osobę, a drugim robi zdjęcia. Ta różnica między polem widzenia jednego i drugiego obiektywu nazywa sie paralaksą. Ja to przeniosłam do mojego spojrzenia na człowieka. To jest różnica między zwykłym patrzeniem na ludzi a moim spojrzeniem. *Myślę, że fotografie powinny prowokować i nie pokazywać to, co jest już znane. Nie wymaga ani wielkiej siły ani magii odtworzenie czyjejś twarzy na zdjęciu. Magią jest postrzeganie ludzi w zupełnie nowy sposób* – to moje motto.

I.P: Czym charakteryzujesię zatem Twoje patrzenie na ludzi?

J.K: Na swoich zdjęciach kreuję pewien świat, taki tylko mój. Wymyślam sobie jakiś temat, jakąś historię, dopasowuję do tego miejsce, modelkę, strój. Na każdym zdjęciu jest opowiedziana inna historia.

I.P: Masz swoich mistrzów?

J.K: Oczywiście, że tak. Jednym jest Helmut Newton, którego akty kobiece są po prostu niesamowite. Druga jest Aneta Kowalczyk. Jej zdjęcia są doskonałe technicznie i stanowią dla mnie wyzwanie, aby iść taką drogą.

I.P: Pracujesz z profesjonalnymi modelkami?

J.K: Raz miałam okazję do takiej współpracy, ale zwykle angażuję swoje koleżanki, normalne dziewczyny. Zdjęcia są tworzone pod konkretną osobę. Biorę pod uwagę ich charakter i to, czy się dobrze czują w mojej aranżacji. Chodzi mi o to, żeby wszystko wyszło bardzo prawdziwie. Ale w przyszłości jednak chciałabym skupić się na pracy z profesjonalnymi modelkami.

I.P: Czym różni sie praca z profesjonalną modelką od sesji z amatorką?

J.K: Jest o wiele łatwiejsza, ponieważ te dziewczyny wiedzą, jak się ruszać, jak grać przed obiektywem. Wystarczy, że powiem, co chcę uzyskać, to zawodowa modelka w pięć minut dopasowuje się do mojej wizji. To niesamowicie ułatwia pracę i daje świetne efekty. Nie znaczy to, ze z amatorkami pracuje się gorzej. Dochodzi jeszcze jeden aspekt. Wiele dziewczyn po sesji mówiło, że poczuły się bardziej dowartościowane, bardziej kobiece. Dla mnie było szokiem, jak to mówiły, ponieważ w sesji widzę tylko zwykłą pracę, a dla nich było to swoiste przeżycie. Profesjonalne modelki już nie podchodzą do tej pracy z takimi emocjami, a raczej z dystansem.

I.P: W swojej pracy artystycznej koncentrujesz sęe wyłącznie na ludziach. Nie interesuje Cię fotografowanie pejzaży, martwej natury, zabytków?

J.K: Nieraz próbowałam się przekonać do fotografii pejzażowej czy makro, ale nie jest to jednak moja ulubiona dziedzina. Cenię sobie kontakt z człowiekiem i możliwość kreacji. Chcę być jednocześnie artystą, malarzem i reżyserem. Z pejzażem tak nie da się pracować.

I.P: Gdzie robisz zdjęcia: w domu czy w plenerze?

J.K: Zwykle wychodzę w plenery. Co prawda mam w domu oświetlenie, tła, więc mogę aranżować przestrzeń podczas sesji, ale to nie jest prawdziwe studio. Plener stwarza okazję do znalezienia wielu ciekawych miejsc.

I.P: Jakie twarze nadają się najlepiej do fotografii?

J.K: Każde. Nie ma niefotogenicznych osób, każdemu można zrobić interesujące zdjęcie.

I.P: Kto przygotowuje Ci modelki do sesji? Mam na myśli strój, makijaż, uczesanie.

J.K: Na początku robiłam wszystko sama i doświetlałam, i malowałam modelki, stylizowałam. Ale teraz mam już znajomych, którzy są na przykład świetnymi fryzjerami, czy stylistami, więc pomagają mi w sesjach. Ubrania przynoszą też często same modelki. Wiele z nich ma tzw., ciuchy po babci i takie rzeczy świetnie się sprawdzają. Sama zbieram ubrania retro.

I.P: Robisz zdjęcia na zamówienie?

J.K: Tak robię, nawet jeśli nie są one w kręgu moich zainteresowań. Takie prace również pozwalają doskonalić mój warsztat.

I.P: Mocno ingerujesz w obraz programami graficznymi?

J.K: To wszystko zależy od sesji. Czasem wymyślam sobie takie odrealnione, z dziwnymi kadrami, nietypową kompozycją, to wtedy dużo przerabiam. Czasem jest jednak takie zdjęcie, przy którym nic nie można kombinować, bo to tylko zaszkodziłoby fotografii. Jeśli obrabiam zdjęcia, to tylko w Corel-Photopaint.

I.P: Jakim aparatem fotografujesz?

J.K: Nikonem D80. To moja pierwsza lustrzanka cyfrowa. Wcześniej bawiłam się zwykłymi kompaktami, ale też niezłe zdjęcia mi wychodziły. Jednak sentyment mam do lustrzanek, ponieważ od dziecka tato mnie uczył fotografować tym typem aparatu. Oczywiście wtedy to były analogi. Do tej pory mamy w domu ciemnię (na razie nieczynną). Pamiętam, jak razem z tatą wywoływaliśmy zdjęcia. To była super przygoda. Fotografię poznawałam wtedy od podstaw.

I.P: Dużo pieniędzy wydajesz na sprzęt?

J.K: Na obecny aparat zbierałam dwa lata. Pracowałam dorywczo. Ale to satysfakcja kupić sobie np. nowy obiektyw. Dla mnie to większa radość niż zakup ubrania.

I.P: Jak wiele według Ciebie zależy od sprzętu, którym się fotografuje?

J.K: Ktoś kiedyś powiedział mądre słowa: *Posiadanie Nikona nie czyni Cię fotografem, a posiadaczem Nikona.* Dobry aparat ułatwia pracę, a gorszy motywuje do tego, by się uczyć. Przy odpowiedniej wiedzy można fotografować wszystkim, nawet pudełkiem po butach (fotografia otworkowa).

I.P: Zwykle stoisz po jednej stronie obiektywu, zdarza Ci się być również modelką?

J.K: Tak. Lubię być fotografowaną i dość często jestem modelką, mimo że mam tylko 153 cm wzrostu. W Internecie jest specjalistyczny portal fotograficzny, gdzie można zamieścić również swój anons jako modelki. Zgłosiłam się i miałam już wiele ciekawych propozycji pracy. Można powiedzieć, że jestem czynną modelką, ale taką alternatywną.

I.P: Alternatywną?

J.K: Podejmuję się takich odważnych sesji. Nie mówię tu o aktach, ale o zaskakujących pomysłach na zdjęcie. Pracy modelki nie traktuję komercyjnie. Sama wiem, jak trudno jest fotografom znaleźć idealną modelkę i sama propozycja współpracy jest dla mnie satysfakcją.

I.P: Zdjęcia, które wiszą na wystawie „prezentują naprawdę wysoki poziom. Długo się uczyłaś, żeby dojść do takiej wprawy w fotografowaniu?

J.K: Zaczynałam jako małe dziecko w podstawówce, ale wtedy to były takie niewinne zabawy z aparatem, który zabierałam tacie. Bywało, że 15 minut ustawiałam aparat, żeby zrobić jedno zdjęcie. Pod koniec gimnazjum fotografia wciągnęła mnie już na dobre, a liceum poszło pełna parą. Widzę tu również wpływ szkoły na rozwój mojej pasji.

I.P: Rywalizujecie ze sobą w szkole?

J.K: Tak, jest niewielka rywalizacja. Wyznacznikiem prestiżu są na przykład wystawy, a szczególnie ich ilość i miejsce. Ważne są też wygrane w konkursach.

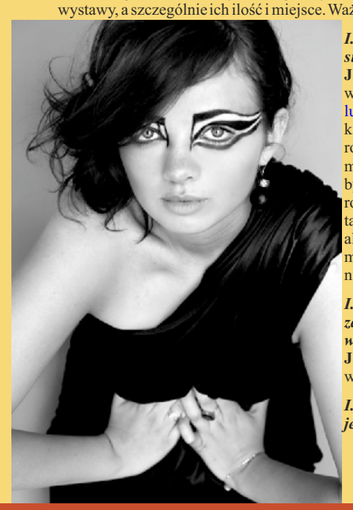

I.P: Masz już na swoim koncie sukcesy w konkursach?

J.K: Kiedyś zostałam wyróżniona w konkursie o rodzinie na stronie lumisfera.pl. Zrobiłam zdjęcie – kolaż przedstawiające moich rodziców w akademiku, oraz ich malutkie córeczki. Pod spodem było drugie zdjęcie, współczesne: rodzice na takim samym tle, w takim samym fotelu i my z siostrą, ale już dorosłe. To było jedno z moich znaczących osiągnięć, ale nie szczyt sukcesu.

I.P: Gdzie można zobaczyć Twoje zdjęcia, oczywiście poza wystawą w TMZZ?

J.K: Na stronie internetowej www.koszal.deviantart.com

I.P: Dziękuję za rozmowę i życzę jeszcze wielu udanych wystaw.

Iwona Pawłowska

Szlakiem Świątyń

Zgodnie z tradycją, wrześniowy etap „III Rajdu Rowerowego Szlakiem Czterech Świątyń Jadwiżańskich" prowadził ze Złotoryi do Sokołowca. Pogoda w dniu 12. września nie zachęcała do wyjazdu, drużynę stanowiło więc jedynie pięcioro uczniów złotoryjskiego Gimnazjum nr 1, Mariusz Bernat, Daniel Roszko, Damian Krzeszowski, Marcin Matyjas, Tomasz Kucharski, którzy pod opieką Pauliny Chaim i znanego kolarza Mariana Mroza z Rzymówki, wyruszyli z kościoła św. Jadwigi w Złotoryi. Tuż przed wyjazdem Alfred Michler i Roman Gorzkowski z TMZZ przybliżyli ideę rajdu i postać św. Jadwigi a ksiądz Jacek Wojeński poprowadził modlitwę i życzył szczęśliwego przejazdu.

Przejeżdżając przez kolejne miejscowości: Jerzmanice Zdrój., Pielgrzymkę, Proboszczów, Nowy Kościół i Sokołowiec, rajdowicze podziwiali krajobrazy Pogórza Kaczawskiego. Po około dwugodzinnym pobycie na trasie wszyscy dotarli do Szkoły Podstawowej im. Św. Jadwigi w Sokołowcu. Pani dyrektor Wioletta Płoszczyca poczęstowała utrudzonych wędrowców gorącą pomidorówką i pieczonymi kiełbaskami. W zabytkowym kościele św. Jadwigi ks. Proboszcz Mieczysław Stępień przedstawił historię świątyni i zaprosił do wejścia na kościelną wieżę. Tutaj panująca mgła utrudniała niestety widoczność.

Każdy z uczestników otrzymał od organizatorów wydawnictwa dotyczące szlaku „Czterech Świątyń Jadwiżańskich" oraz inne okolicznościowe materiały. Drużyna szczęśliwie przejechała łącznie 55 km i o godzinie 14.00 powróciła do Złotoryi. Wyjazd zaowocował pogłębieniem wiedzy turystyczno-krajoznawczej i historycznej a także zebraniem punktów do „Odznaki Jadwiżańskiej". Jaka szkoda, że zbyt mało jest takich lekcji regionalnych w terenie. Mamy nadzieję, że za rok wyruszy na trasę o wiele liczniejsza grupa. Bardzo dziękujemy za pomoc i opiekę Panu Marianowi Mrozowi.

Paulina Chaim

Na Podhajce!

Podhajce to niegdyś powiatowe miasteczko na zachodnim krańcu Podola. Usiane licznymi wzniesieniami uwodzi wrażliwych na piękno krajobrazu swoim położeniem. W XVII w. miasteczko imponowało murowanymi budynkami, pięcioma świątyniami, murami obronnymi i zamkiem z potężnymi murami, wieżami i wałami. Ulice miejskie wyłożono kostką brukową. Społeczność składała sie z Żydów, Wołochów, Ormian, Polaków i Rusinow. Kościół ufundowała w 1634 r. Zofia z Zaniechowa Tyszkiewiczowa, a zastąpił on drewniany, zbudowany przez właściciela Podhajec Jakuba Buczackiego w XV w.

Tu rozegrały się bitwy: jedna to zwycięstwo Jana Sobieskiego nad najazdem tatarsko-kozackim, a w 1698 Feliks Potocki stoczył ostatnią bitwę z Tatarami. Podczas pierwszej wojny światowej miasto legło w gruzach. Druga wojna przyniosła największe ofiary w ludziach. Głęboka nocą 10 lutego 1940 r. rozpoczęła się zsyłka, wywożono całe rodziny, po drodze niektórych mężczyzn zabierano od rodzin. (W niedalekich Potutorach stoi na stacji jeden z bydlęcych wagonów, który w przeszłości służył do przewozu zesłańców.) Podczas okupacji wymordowani zostali Żydzi. Pozostali mieszkańcy częściowo zostali wywiezieni do Kazachstanu, Workuty, pozostałych repatriowano. Po wojnie. Zostali nieliczni. Ostatnia msze w polskim kościele odprawił ks. Stanisław Popkiewicz, który dotarł z parafianami do Trzebnicy.

Od 1990 r. w Podhajcach uaktywnił działalność na rzecz świątyni Stefan Kołodnicki, a w Polsce Józef Wojciechowski. Zebrano ponad 26 mln zł na remont kościoła. Niestety zapadły decyzje o przeniesieniu środków na inne kościoły.

W czerwcu b.r. do Podhajec pojechali byli mieszkańcy oraz ich rodziny. Pielgrzymi zostawili 3600 euro. Efekty już widać - ruszono z remontem kościoła, polskiego cmentarza. Cmentarze porządkowała dziennikarka G. Sondej–Orłowska z wolontariuszami.

Organizatorem pielgrzymki był wójt Gminy Oława, którego krewni nadal mieszkają w Białokrynicy k. Podhajec. Zawarł porozumienia z samorządowcami. Ostatnio zorganizował spotkanie, które przeobraziło się w komitet założycielski Stowarzyszenia Podhajeckiego, które czeka na rejestrację. W najbliższych dniach do Podhajec pojedzie transport z pomocą przedświąteczną. Złotoryjanka, z podhajeckimi korzeniami przygotowała transport z odzieżą, zabawkami, wyprawkami niemowlęcymi. Ponadto biblioteka szkolna Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II dołożyła pokaźny zestaw lektur, podręczników i beletrystyki.

Zainteresowani wyjazdami, stowarzyszeniem, ratowaniem zabytków i organizacją pomocy mieszkańcom dawnych ziem polskich zapraszam do współpracy.

Danuta Sosa – przew. Koła Kresowian przy TMZZ

Święcący sobotę

Zarys dziejów chrześcijan święcących sobotę z okolic Złotoryi.

Po tym jak 31 października 1517 roku Marcin Luter przybił do drzwi kościoła zamkowego w Wittenberdze pismo z 95 tezami, idee reformacyjne w szybkim tempie zaczęły rozprzestrzeniać się w całej Europie. Na Dolny Śląsk Reformacja dotarła już w roku1522. Szybko przyjęła się w Księstwie Wrocławskim i Świdnicko-Jaworskim. Właśnie z Dolnego Śląska pochodził inny wielki reformator Kacper von Schwenckfeld (1489-1561). Nie do końca zgadzał się on z Lutrem, gdyż jego pogląd na reformę ówczesnego kościoła szedł znacznie dalej. Rozbieżność poglądów uwidocznia się szczególnie przy rozpatrywaniu luterańskiej nauki o Komunii Świętej, którą Schwenckfeld traktował jako symbol i pamiątkę śmierci Jezusa a nie rzeczywiste ciało Chrystusa objawiające się w Eucharystii. Ostatecznie drogi reformatorów rozeszły się całkowicie. Nie zrozumiany przez ogół Kacper von Schwenckfeld znalazł schronienie u księcia legnickiego Fryderyka odnoszącego się życzliwie do różnych religijnych dysydentów, których w tamtych czasach nie brakowało w całej Europie. Gdy w okolicach Złotoryi pojawili się Holenderscy Anabaptyści, Schwenckfeld nawiązał z nimi kontakt i na skutek zacieśniania wzajemnych stanowisk teologicznych zaczął święcić sobotę, nakazany w Dekalogu biblijny dzień odpoczynku.(2 Moj. 20,8-11; V Moj. 5,12-15.) Po śmierci tego reformatora atmosfera polityczna i religijna zmieniła się na tyle, że zwolennicy jego nauk opuścili Dolny Śląski i udali się za ocean do Ameryki, gdzie osiedli w miejscowości Salem. Od tego czasu protestanckie grupy religijne, które powstały kiedyś w okolicach Złotoryi istnieją współcześnie w wielu stanach USA. Obecnie znane są pod nazwą Schwenckfeldian Church oraz Sabatarian Church. W swoim czasie miały nawet przyczynek w rozwoju niektórych regionów tego kraju oraz innego protestanckiego ruchu religijnego, wyrosłego na amerykańskim gruncie, nazwanego później adwentyzmem, który około roku 1900 zawitał także w okolice Złotoryi.(Müller K. *Kirchengeschichte*, t. III, Tübingen 1911, s. 279, 403, 404)W ten sposób koło historii zatoczyło pełen krąg.

Największa fala uchodźców religijnych trafiła na Dolny Śląsk po roku 1731, kiedy to poddani arcybiskupa salzburskiego zostali wypędzeni z Austrii. Katolicki hierarcha. Leopold Anton von Firman, w swoim zacietrzewieniu zmusił w środku zimy do porzucenia swojej ojczyzny w alpejskim Zillertalu ponad 22 tysiące ewangelików reformowanych. Fala uchodźców skierowała się do bardziej tolerancyjnych Prus i osiadła głównie w Prusach Wschodnich i na Dolnym Śląsku. Tzw. „Tyrolczycy" zamieszkali w okolicach Kowar, Jeleniej Góry, Bolesławca Śląskiego, Szprotawy i Złotoryi.

Kościół Adwentystów, będąc obecnie największą na świecie społecznością chrześcijan święcących sobotę, wywodzi się z amerykańskiego ponadkonfesyjnego ruchu przebudzeniowego, który w pierwszej połowie XIX wieku pojawił się na terenach Nowej Anglii. W Niemczech, jako struktura organizacyjna, powstał w roku 1889 a na jego przewodniczącego powołano pastora Ludwiga Richarda Conradiego, który do Europy przybył ze Stanów Zjednoczonych w roku 1884.(Pierwszym adwentystą na kontynencie europejskim był Polak, Michał Belina-Czechowski. Był on księdzem katolickim biorącym aktywny udział w Powstaniu Listopadowym. Zrażony postawą papieża wobec zaborców porzuca stan kapłański i emigruje do Stanów Zjednoczonych i zostaje adwentystą.) W roku 1889 utworzono siedzibę nowopowstałego w Niemczech Kościoła w Hamburgu i z tego portowego miasta pastor Conradi rozpoczął niezwykle efektywną pracę misyjną. Stał się pionierem adwentyzmu nie tylko w Europie ale i w Azji oraz Afryce a nawet pośrednio w Ameryce Południowej.(Łyko Z., *Znaczenie adwentystycznej misji hamburskiej*, Warszawa 1990, s. 102-112) W grudniu 1906 zwołano obrady Niemieckiej Unii Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego do pierwszego powstałego w Europie adwentystycznego seminarium duchownego, zbudowanego we Friedensau niedaleko Magdeburga (Saksonia). W trakcie tych obrad podjęto, między innymi, decyzję o utworzeniu samodzielnej Diecezji Śląskiej. Oficjalnie powołano ją do życia 1 stycznia 1907 roku. Ta kościelna jednostka strukturalna liczyła wówczas 53 zbory (parafie). Jej siedziba mieściła się we Wrocławiu, gdzie w 1901 roku wybudowano pierwszy budynek kościelny dla Adwentystów na Dolnym Śląsku. Kolejne powstały w Legnicy (1902 r.), Strzelinie (1904 r.), Kuropatniku (1904)(*Bericht der ersten Konferenz der Sächsischen Vereinigung* „Zions Wächter" 7 XI 1907, s. 4-6). Na dorocznej konferencji Diecezji Śląskiej, trwającej od 1 do 4 maja 1924 r., podjęto decyzję dotyczącą Złotoryi i postanowiono przekształcić dotychczasową grupę wyznawców z tego miasta w samodzielną parafię (zbór). Dokonał tego przewodniczący Diecezji pastor Janert.(*Jahresversammlung der Schlesischen Vereinigung.* „Der Adventbote" 1 VIII 1924, s.195) Parafia (zbór) w Złotoryi liczyła 40 osób. Ponieważ nie posiadano osobnego budynku kościelnego, na nabożeństwa schodzono się do prywatnego domu rodziny Heumann, gdzie część pomieszczeń wydzielono i wyświęcono na kaplicę. Taka sytuacja trwała od 1924 do 1945 roku. Członkami miejscowej społeczności były rodziny wywodzące się głównie z Kościoła Ewangelicko Reformowanego oraz potomkowie uchodźców salzburskich. W parafialnych rejestrach figurowały nazwiska następujących rodzin: Heumann, Sielle, Krüger, Lorenz, Hase, Röske, Hoffmann i Sölze. Pod koniec roku 1923 przeprowadzono w Złotoryi akcję ewangelizacyjną, tzw. *Wykłady Biblijne*, po której ochrzczono i przyjęto do Kościoła kolejne 21 osób, co następnie pozwoliło na przetworzenie dotychczasowej grupy wiernych w samodzielną parafię (zbór). Do tej pory adwentuści ze Złotoryi dojeżdżali na nabożeństwa i spotkania religijne do kościoła w Legnicy, którego byli częścią składową. Mimo trudności lokalowych, w latach 1930-1945 zbór w Złotoryi posiadał już własny chór, który dawał w soboty koncerty pieśni religijnej, przyciągające wielu słuchaczy z miasta. Pastorami, którzy pracowali w Złotoryi i okolicach, byli: J.H. Schilling i E. Frauchiger (1907), W. Bartsch (1910), R. Lusky (1914), A. Heumann (1915-1918), A. Krautscick (1918-1921), Jannert (1921-1925), T. Böttcher (1925-1932), H.J. Schuberth (1934-1943) i krótko A. Heumann (zmarł w 1943).(Dane z kroniki przewodniczącego Unii Wschodnioniemieckiej, pastora Michaela Budnicka). Ostatnim pastorem adwentystycznym w Złotoryi był Emil Jäger (do lutego 1945 r.), którey dojeżdżał tu aż z Bolesławca Śl. i opiekował się w czasie trwania II wojny światowej jednocześnie kilkoma parafiami (zborami). Po wojnie wyjechał do Niemiec i osiadł w Wuppertalu. Adwentyści, z uwagi na fakt święcenia biblijnej soboty (sabat) oraz stosowania biblijnych zasad dietetycznych (np. zakaz spożywania wieprzowiny), stali się dla nazistów osobami podejrzanymi. Jak już wielokrotnie na przestrzeni wieków, wszystkich chrześcijan pozostających wiernymi biblijnemu nakazowi święcenia soboty oskarżano o związki z judaizmem, co w III Rzeszy miało swoje szczególne znaczenie. Nazistowskie służby bezpieczeństwa wydały nawet kilka czasowych zakazów działalności tego wyznania. Szczególnie prześladowano odmawiających pracy w sabat (sobotę) lub odmawiających służby wojskowej. Z zachowanych dokumentów dotyczących Złotoryi wynika, że w roku 1943 czterech członków lokalnego zboru zostało wcielonych do Wehrmachtu. Wszyscy zginęli na froncie wschodnim w Rosji.

Wśród niewielu ocalałych dokumentów zachowała się także lista duchownych posługujących w Złotoryi w latach 1935-1941.Widnieją na niej nazwiska następujących pastorów: B. Ohme, A. Thoms, H. Schmidt, O. Brauscher, F. Greilmann, G. Lehmann, W. Gülldenpfonnta, O. Bahr, E. Pistorius, H. Neumann, K. Keller, J. Kanzok, H. Lane, R. Langhof.

Po zakończeniu działań wojennych niemiecka parafia adwentystyczna w Złotoryi, jak i wszystkie inne na Dolnym Śląsku, przestała istnieć. Wraz z przesunięciem granic większość mieszkańców wyemigrowała lub została przesiedlona do Niemiec. Pozostali jednak pojedynczy wyznawcy. Potwierdza to list pastora Michaela Budnicka, Przewodniczącego Wschodnioniemieckiej Unii Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, wysłany z datą 3 marca 1947 do USA, na ręce pastora L.K. Dicksona, pracownika Rady Naczelnej przy Generalnej Konferencji (Ogólnoświatowy Zarząd Kościoła). Pastor Budnick zwraca się z prośbą do swojego amerykańskiego kolegi, który ma złożyć wizytę w Polsce, aby zajął się sprawami wyznawców, którzy pozostali na Dolnym Śląsku. Wśród nazwisk wymienionych w piśmie znajduje się nazwisko Elsy Heumann, zamieszkałej w Złotoryi przy ulicy Bolesława Chrobrego 7. Pastor Budnick w podpisanym przez siebie piśmie pisze: „Jest ona wdową po zmarłym pastorze Alfredzie Heumannie. Jedyną pomoc finansowa w roku 1947 otrzymała z kasy Unii Kościoła Adwentystów. Ma na utrzymaniu dwoje dzieci. Syn jest ciężko chory i leży obecnie w szpitalu. Żyją w wielkiej nędzy i potrzebują pilnej pomocy w postaci paczek żywnościowych. Jej pragnieniem jest natychmiastowy wyjazd do Niemiec. Dostała ode mnie odpowiednie pismo, datowane 28 listopada 1946r. Przekazaliśmy je pastorowi Cunitzowi, który wyemigrował do USA. On przekazał jej dokumenty pastorowi Linsayowi, który ma z nimi udać się do Sztokholmu. Proszę przedstaw jej sprawę pastorom, którzy kierują obecnie Polską Unią." Jest to ostatni ślad po niemieckim dolnośląskim adwentyzmie. Podobnie sytuacja przedstawiała się na Górnym Śląsku. Zlikwidowano tam wszystkie 59 parafii zrzeszających łącznie 2089 wyznawców (dane za 1940 rok).

W kolejnych latach Kościół Adwentystów Dnia Siódmego z wolna zaczął powracać na Dolny Śląsk, tym razem za sprawą Polaków osiedlających się na ziemiach odzyskanych (także w Złotoryi). Obecnie w Polsce liczy on ok. 8000 wiernych rozsianych w trzech Diecezjach z siedzibami w Warszawie, Poznaniu i Krakowie. W skali światowej liczba wyznawców wynosi ponad 25 milionów osób. Wyznanie to zalicza się do jednych z najszybciej rozwijających się wśród protestanckich kościołów chrześcijańskich.

Mgr Marek Wojtyto (historyk i Kierownik Archiwum Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w R.P.)

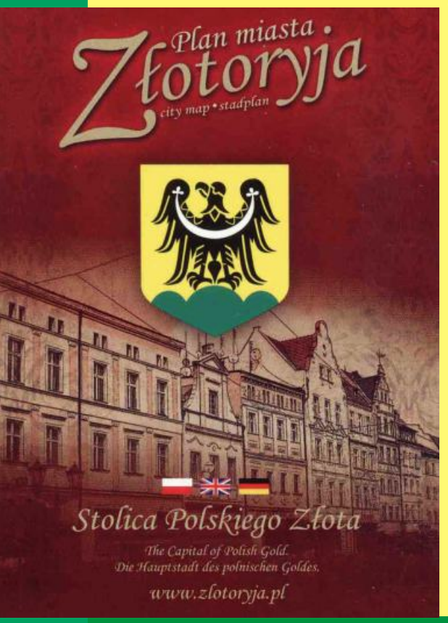

Warto przeczytać

Przed nami najnowszy planik naszego miasta, zaopatrzony również w część opisową oraz informator. Wydawca, Urząd Miejski, zadbał o aktualizację danych oraz ilustracje przedstawiające odrestaurowane zabytki i atrakcyjne fragmenty Stolicy Polskiego Złota. Tekst przetłumaczono na język niemiecki i angielski.

Chcielibyśmy bardzo, aby w następnym wydaniu (pierwsze zapewne rozejdzie się bardzo szybko) mapka została uzupełniona o przebiegające przez miasto a odwiedzane przez turystów i mieszkańców trasy, szczególnie Ścieżkę św. Jadwigi, Drogę św. Jakuba czy Szlak Pomników Przyrody (są natomiast pizzerie, przeciwko którym zresztą nic złego nie mamy). Warto byłoby wymienić także inne działające tutaj organizacje, które mają swój udział w promowaniu naszej miejscowości (nie tylko Polskie Bractwo Kopaczy Złota). W tekście pojawia się, chyba po raz pierwszy, nowa nazwa Fontanny Górników – Fontanna Kopaczy.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Gdzieś na tyłach frontu

Tym razem pokazujemy ciekawą fotografię, którą w sierpniu 1917 r. wysłano ze Złotoryi jako widokówkę. Nieznany z nazwiska Walter wyrażał m.in. zaniepokojenie losami swoich znajomych lub krewnych, których wzięto na front.

Fotograf uwiecznił trzech żołnierzy złotoryjskiego garnizonu, których zaprosiła na szachy najprawdopodobniej jedna z zaprzyjaźnionych rodzin. Tego możemy się domyślać, natomiast zagadkowe jest miejsce akcji. Z lewej za pniem drzewa widać fragment jakiejś większej budowli. Gdzie ewentualnie znajdował się mur widoczny z tyłu? Czy to jest nasze miasto, czy też jego okolice?

Zdajemy sobie sprawę, że co za dużo to niezdrowo, tzn. że zbyt często zadajemy w tym kąciku pytania, zamiast na nie od razu odpowiadać, ale naprawdę nie wiemy, gdzie zrobiono zdjęcie.

Roman Gorzkowski

Zapomniane – odszukane

Piwne tradycje cz.2

Po raz kolejny chcielibyśmy przedstawić eksponat związany ze złotoryjskim browarem Oswalda Neumanna.

Jest to tablica (szyld) o dość dużych wymiarach. Widnieje na niej dawny herb przedwojennej Złotoryi oraz napisy : ***Neumann, Biere, Goldberg, Seit 1868*** **(tj.** ***Neumann, piwa,***

Złotoryja, od 1868 r.) Tablica wykonana jest z blachy, w całości pokryta jest różnokolorowa emalią.

Owa tablica widnieje na starej fotografii z okresu II wojny światowej. Zdjęcie przedstawia kilkoro ludzi stojących przy wejściu do restauracji lub zajazdu, a w tle widoczna jest tablica Neumanna.

Zastanawiamy się, czy ludzie uwiecznieni na fotografii to właściciele restauracji, w której sprzedawano złotoryjskie piwo, a może to członkowie rodziny Neumann?

Czy ktoś z czytelników pomoże nam rozwiązać zagadkę?

Przemysław Markiewicz

Historia jednej fotografii

Patrzcie bracia, jeno…

Chyba w maju (widać dziewczynki w komunijnych sukienkach), prawdopodobnie ponad trzydzieści lat temu, złotoryjanie mieli okazję zobaczyć pochód z grupą w niecodziennych strojach. Za nią daje się odczytać fragmenty transparentów, których treść dotyczy cechów rzemieślniczych.

Z jakiej okazji i kiedy doszło to tego wydarzenia? Kto nosił wówczas takie stroje, jednorazowo czy częściej? Co się z nimi stało? Czy chodzi o starszyznę cechową? A może uda się rozpoznać niektóre postacie?

Roman Gorzkowski

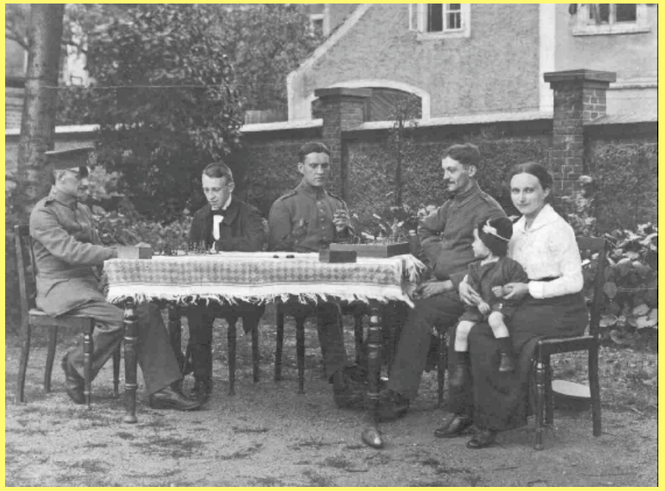

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
„Bazalt" SA w Wilkowie

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie
GALERIA SPONSORÓW

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
STONESPOL
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Niech żyje nam Górniczy Stan!

Dzień Górnika BARBÓRKA od zawsze był świętem całej Złotoryi. Orkiestra górnicza, pochody, pióropusze, pochodnie, skok przez skórę, pasowanie na gwarka, bale! Wielu mieszkańców naszego miasta pracowało w kopalniach miedzi: „Lena" „Nowy Kościół", „Konrad". Górnictwo złotoryjskiej miedzi pociągało za sobą rozwój naszej małej i dużej ojczyzny. W Złotoryi powstawały inne nowe zakłady. Wybudowano nowy szpital, otwierano banki, nowe urzędy, nowe szkoły. Wszystko budowało się dla zatrudnionych tu górników i ich rodzin. Warto o tym dzisiaj pamiętać.

Praca kopalni i praca górników mają szczególny charakter. Kopalnia to duży, stabilny zakład pracy, zatrudniający często tysiące pracowników. Wielu młodych ludzi, którzy pracują w kilku czy kilkunastoosobowych zakładach, nie wie, co znaczy praca w tak dużym zakładzie.

Ciężka praca górnika na dole w kopalni, w wąskim wyrobisku, wśród ustawicznych zagrożeń, kształci w człowieku szczególne cechy: dyscyplinę, sumienność, odpowiedzialność, solidarność, zainteresowanie pracą kolegi – czy skończył, czy wyjechał już z dołu.

Środowisko złotoryjskie wychowało wielu wspaniałych górników: Zbigniew Pochciał, Mirosław Pawlak, Alfred Wołczyński, Alfred Cholewiak byli dyrektorami Kombinatu Górniczo – Hutniczego Miedzi w Lubinie. Stanisław Pieprzyk, Jan Foligowski, Ryszard Samborski, Jerzy Kluz, Zbigniew Szabla, Jan Gancarczyk, Adolf Chyra byli dyrektorami kopalń w KGHM.

Czesław Skowronek, Stanisław Szcześniak, Jan Pater, Jan Bednarczyk, Mieczysław Końkow, Henryk Drewniak, Jerzy Krupienia, Józef Sobol, Edward Sosnowski, Stefan Korczyński, Jan Chaim, Rudolf Bielik, Jerzy Kolasiński, Tadeusz Pisiakowski, Edward Porębski, Stefan Ruczkowski, Henryk Słowik, Jan Majchrowski, Eugeniusz Jałowiecki, Teofil Kowal – to „stare strzechy" i osoby dozoru wyższego kopalni.

Nie wymienimy tu wszystkich. Pamiętajmy, że złotoryjanie odegrali znaczącą rolę w budowie i w pracy poszczególnych zakładów KGHM. Pracowało tu wielu wspaniałych górników, mechaników, elektryków, strzałowych. W latach siedemdziesiątych w KGHM znana była opinia: zamienię dyplom wyższej uczelni na świadectwo pracy z Leny.

Dzisiaj w Złotoryi mamy górnictwo odkrywkowe, pracują kopalnie bazaltu. Inne to górnictwo niż wyżej wspomniane. Nowoczesne, umaszynowione, z nowymi kwalifikacjami górników, mechaników, elektryków, z wielką wydajnością, z dbałością o wysoką jakość produkcji, ze wspaniałymi osobami dozoru. Równie ważne dla polskiej gospodarki co górnictwo miedzi choć mniej liczne – tak samo cieszące się szacunkiem. Kochamy naszych górników i ufamy im.

Z okazji górniczego święta Barbórki życzymy im – tym młodym i tym starszym – dużo zdrowia, sił i chęci do dalszej pracy. Życzymy pracy bezpiecznej, realizacji planów, życzymy dobrych wyników finansowych, a na Barbórkę – dobrej dniówki barbórkowej i kufla pełnego piwa.

Niech żyje nam Górniczy Stan!

W imieniu Zarządu TMZZ
Aleksander Borys

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

VITBIS

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA